



**Prenumerata wynosi:** w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina. — w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.

Treść Numeru. Małżeństwo i Kobieta — Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elżę Orzeszkową. — Korespondencja z Paryża. — Wody mineralne w Busku. O ubiorach. —

## MALŻEŃSTWO I KOBIETA.

Wszak to nie dopiero za naszych czasów umysły ludzkie zaczęły zaprzętać wielkie pytanie, jakie jest właściwe stanowisko kobiet w społeczeństwie? Już dawno nie tylko one same wybiegały pojedynczo po za ciasny zakres im wydzielony, lecz i męzka połowa rodzaju ludzkiego, wprawdzie bardziej jeszcze cząstkowo, tylko umysły wyższe a zdrowe i trzeźwe, przychodzą do tej myśli, coby dla nich samych było korzystniej, czy odesłać bezwarunkowo ród niewieści do kuchni i wrzeciona, czy dopuszczając go do współudziału w dziedzinie inteligencji mieć zamiast ślepij służebnicy, towarzyszkę, pociechę i podporę moralną. Dowcipny Moliere w *Sekole kobiet* wytyka w sposób komiczny, jak małą rekojmię szczęścia dla męża jest pozostawienie żony w grubiej nieświadomości, a w *Kobietach uczonych* wyszydza śmieszność pretensji kobiecie do uczoności. Pretensje te miały źródło głównie w reakcji jaką wzbudzało owo spychanie kobiety do rzędu istot bezmyślnych: z drugiej strony śmieszność taka bywa tylko wynikiem pseudo-uczoneści, i mówiąc nawiasem nie tylko w kobiecie jest śmieszna. Faza tych pretensji dziś już szczęściem przeminęła. Kobieta zbliżona do wiedzy, obejrząwszy cały jej obszar beznamiętny, pojmując iż nawet będąc wysoko wykształconą, wynosić się nie może z tej maluczkiej jej cząsteczki jaką sobie przyswoiła. Późniejsze zachcianki tak zwanej emancypacji kobiet w inny już się objawiały sposobem: zdawało się niektórym iż się na równi z mężczyzną postawią podrzucając go w stroju, układzie, nawet w nałogach i wybrykach. Wrodzona godność kobieca nie dopuściła rozszerzeniu się takich wyobrażeń, które w ogół nigdy nie wniknęły, zawróciły tylko pewną liczbę głów wietrznych, niedowarzonych, przebrzmiały, i zniknęły. Na szlachetniejsze pole przeniosła się walka kobiety o porównanie z mężczyzną: chce ona być mu równą w prawie spełniania wszelkich obowiązków człowieka względem społeczeństwa. Jeżeli to dobijanie się o wolność sprawowania urzędów, głosowania, występowania publicznie w kwestjach naukowych, społecznych i politycznych, nie płynie z podszeptów próżności, za co także ręczyć trudno, zaiste pobudki mogą być zacne, i zaciejsze dążności od wszelkich poprzednich, lecz sąż one właściwe? gdzie i czem kobieta przyczynia się najlepiej do postępu ludzkości? gdzie się bez niej obejdzie, a w czem nikt jej zastąpić nie potrafi? — Tak wiele już o tej kwestyi mówiono i pisano, że zapewne nic nowego nie da się już powie-

dzieć, lecz że walka nie ustala, i coraz nowe posiłki obie strony na pomoc przyzywają, zdaje się nam nie od rzeczy przytoczyć niektóre ze zdań, jakie w tym względzie wygłasza jeden z głębszych myślicieli naszego wieku, uczony Ad. Franck, znakomity profesor prawa przyrodzonego i prawa człowieka w kolegium francuzkiem, autor wielu ważnych dzieł filozoficznych. Stosownie do przedmiotu jaki w wykładach swych głównie traktuje, zadaniem jego jest zastrzeżenie praw człowieka — kobiety; a jako filozof śledzący drogi i cele ludzkości, pragnie on gorąco znaleźć i wykazać wszelkie czynniki sposobne do ułatwienia i przyspieszenia pochodu tejże ludzkości ku wyżynom ducha, jedynej przystani, której osiągnięcie godnem jest wiekowych zachodów, prac, walk i cierpień. Z tego dwojakiego więc stanowiska zapatrując się na rolę należną kobiecie, wchodzi on najprzód w warunki ustroju społecznego, w prawa i obowiązki, a po streszczeniu ich ogólnem przechodzi do wykazania ich, że tak powiem, głównego ogniska.

Na łonie społeczeństwa, mówi on, człowiek jest jednostką odosobnioną: w rodzinie leżą spójnie i węzły łączące jednostki ze społeczeństwem. W rodzinie jest związek praw i obowiązków, których wykonanie w niej samą musi być najprzód zastosowaniem. Lud któryby chciał obchodzić się bez rodziny, podobnym byłby do gmachu murowanego bez cementu.

A więc społeczeństwo zasadza się na rodzinie: zbyt czem byłoby wyjaśniać iż rodzina zasadza się na małżeństwie. Lecz na czem się zasadza małżeństwo?

Nie dosyć jest powiedzieć, iż ono jest koniecznem dla rodziny a tem samem dla społeczeństwa. Byłoby to jedynie uznaniem użyteczności z pominięciem świętości onego, uzasadnieniem go na podstawie wcale niedostatecznej, gdyby bowiem innej nie dało się wynaleźć, w takim razie potrzebaby rozłączać wszystkie stadła bezdzietne, i karać opuszczeniem, odepchnięciem to co jest jedynie winą natury, co raczej jest nieszczęściem, któremu się należy dla stron obu nie kara lecz niesienie pociechy, zdwojenie czułości i przywiązania.

I moralnie także rodzina jest dziełem małżeństwa. Gdzie małżeństwo pozbawione czci i godności, gdzie rządzi fantazja jednej ze stron lub obydwóch, tam i młode pokolenie nie będzie miało poczucia poszanowania siebie i swoich obowiązków, tam w rodzinie przemoc, służebnictwo, bezład, nieład i upadek. Małżeństwo zatem samo w sobie ma swoje uświęcenie. Samo w sobie jest społeczeństwem zupełnem, które sobie wystarcza, i posiada swoje osobne prawa. Uzasadnione na miłości i obowiązku, na miłości ugodniennej przez obowiązek, na obowiązku umilo-

nym urokiem, zbrojnym we wszelkie potęgi miłości, naraża się ono na poniżenie, na zbeszczeszczenie skoro na inne liczy podpory, innymi siłami obwarować się stara.

W tem jedynie zespoleniu miłości i obowiązku leży cała godność, cała przyszłość jego. Na takich tylko warunkach pojęte małżeństwo pozostaje w porządku przyrodzonym według sumienia, czyli wyrażając się inaczej, w porządku moralnym. Małżeństwa dla interesu, dla widoku nie są jedyne, prawe małżeństwo jest to, które się gruntuje na tych dwóch niezachwianych podstawach: miłości i obowiązku, które się poczęło na tych dwóch szlachetnych uczuciach, które się tylko wraz z nimi ma skończyć i nie zerwie się aż w chwili nieuniknionej rozłąki, rozwodu wiekiustego.

Święty ów związek miłości i obowiązku polega na jednym warunku, to jest winniśmy wiedzieć jaką rolę kobieta powołana jest spełnić w naszym życiu, i uznać w niej duszę równą naszej, chociaż odmienną pod pewnymi względami, duszę przeznaczoną do uzupełnienia naszej duszy w brakujących nam przymiotach.

I tak jest w istocie: kobietę zarówno jak nas oświeca wewnętrznie światło sumienia, a częstokroć nawet jasność w niej bywa czystsza, bardziej nieprzyjemną, wytrwalszą; ona również jak my jest istotą wolną, której nie mamy prawa upośledzać, nie wolno nam narzucać jej naszych namiętności i kaprysów choćby sama na to przystawała, nikt bowiem sam nie ma prawa poniżać siebie, ani się wyrzec swojej godności, a miano stworzenia ludzkiego jest jej tarczą i opieką przed bliźnim, przed społeczeństwem, przed Bogiem.

Z tego już tylko tytułu kobieta jest nam równą, z tego tytułu godną jest być towarzyszką życia naszego. Lecz nie na tem kończy się wszystko: te same władze i zdolności, które w nas znajdujemy, w niej istnieją także, lecz się objawiają w odmiennych skutkach, działalność swoją w innych rozwijają sferach, zastosowane są do innych czynności jak to słusznie przynależy dla dwóch istot zjednoczonych przez twórcę natury do jednego i tegoż samego zadania, a których połączenie tem jest ściślejsze a niezbędniejsze, im różniejsze są ich uzdolnienia i przyrodzone dary.

Udziałem mężczyzny wszelka śmiałość, rzutność, siła i potęga, ciężkie prace na gruncie przemysłu i nauki, odwaga zaczepna i odporna, to jest odwaga czynna, idee abstrakcyjne, surowe rozmyślanie: kobiecie udzielona w darze słodycz, cierpliwość, rezygnacja podniesiona nadzieją, co także nazwać można odwagą bierną, wyższą niekiedy od czynnej,



i owe prace których przeznaczeniem zdość i ogładzać, i te uczucia tkliwe co są urokiem, pociechą, poezją życia, subtelność umysłu, i ten takt niewysłowiony, ta szybka intuicja niby dar wieszcz. Ząd to pochodzi iż u wszystkich prawie ludów na ziemi, tajemnie przyszłości u niej zasięgano: w Grecyi ona stawała na pytonissy trójnogu; ona wydawała wyrocznie w dziewiczych Galji borach; one u Hebrajczyków współzawodniczyły z prorokami.

Każda z dwóch płci jest udarowaną przez Twórcę natury tym rodzajem piękności i przymiotów na jakim drugiej zbywa, a wszelkie różnice w duszach ich istniejące odzwierciedlają się w kształtach ciała i w obliczu rysach. Ząd ten wzajemny miłość poiąg, przez który stają się niezbędnie potrzebnymi jedni dla drugich we wszystkich chwilach, we wszelkich sferach bytu.

Jakże głęboką, ile prawdy zawierającą w sobie jest owa bajka o Andrygonie, którą Plato pożyczyl u starożytności wschodniej! Przedstawia ona istotę człowieczą w chwili gdy wyszła z rąk Boga, jednoczącą w sobie wszystko co tylko dziś jest u ludzi pomiędzy dwie płcie rozdzielone. Idealny typ natury ludzkiej był niepodzielny w myśli Bożej, jak ją wyobraża złoty wiek pogański i chrześcijańskich ludów raj ziemski. Aby odzyskać utraconą jedność, doskonałość pierwotną, potrzeba zestawić razem dwie połowy rodzaju ludzkiego, a z tej potrzeby, zrodzonej ze sprzeczności między bożkim typem a rzeczywistością światową, wynikło to co rozumiemy pod nazwą małżeństwa.

Ta odrębność władz i usposobień odróżniająca mężczyznę od kobiety, pomimo jedności ich natury, prowadzi do potępienia grubego błędu, który z kolei wypływał z pod pióra wszystkich utopistów, od Platona do najnowszych pisarzy. Równość nie jest to jednakowość. Nie, kobiety nie są powołane do tychże samych zadań co mężczyźni. Gdyby się o to starały mogłyby nie mało utracić na porównaniu, a mybysmy także nie wiele zyskali w zetknięciu się z nimi na stanowiskach, gdzieby już nie były nam niezbędnymi ani wyższymi. Wszyscy stracilibysmy na tem niechybnie.

Nie, powtarzam, pomimo ich własnych odezów w tym względzie, kobiety nie są stworzone na dowodzenie wojskami, wymierzanie sprawiedliwości, rokowanie o sprawach publicznych, przemawianie do publiczności, kazanie po świątyniach, sprawowanie kapłańskich urzędów. Natura odmówiła im darów nieodzownych do wypełniania tych trudnych i szczególnych czynności. Potrzebna tu siła, męztwo, gest, głos, wola niezłomna, wymowy potężne porywy, wrzące zapasy stroniactw: dzięki Bogu kobieta nie z tego wszystkiego nie otrzymała, niech się tem cieszy, niechaj powinszuję sobie iż do ogniska domowego walk *forum* nie wnosi.

Tak jest, miejsce kobiety nie przed sądownymi krakami, nie na mównicy ani na polu bitwy: miejsce jej przy ognisku domowym. Ona tam monarchini, panuje bez podziału nad naszymi sercami, tam ona prawdziwie naszą pociechą, radością, ozdobą i siłą naszą: tam ona rozpóściera władzę, której nikt jej wydrzeć nie ma pragnienia, ten chyba co się sam własnego szczęścia wyrzeka.

Alboż to stanowisko tak nizkie że kobiecie przychodzi zazdrościć nam naszego? Ach nie! bo z głębi tego przybytku wpływ jej błogi przenikać może we wszystkie sfery układu społecznego; bo od tego ogniska skromnym blaskiem płonącego ożywcze promienie wszędzie sięgnąć mogą, wszystko ogrzać i rozjaśnić.

Towarzyszka życia tego co losy narodów ma w ręku, tego co najwyższymi kieruje sprawami, może w sercu jego budzić lub utrzymać uczucia honoru, ludności i łaskawości.

Towarzyszka życia człowieka co urzędu piastuje, potrafi łagodzić surowość sprawiedliwości; miękzyć twardą dumę zaszczerpioną przez ciągłe władzy wykonywanie, natchnąć skromnością i rozważą, które to uczucia powinny być niedostępne przy wydawaniu wyroków ludzkich nawet w świątyni sprawiedliwości.

Towarzyszka życia mędrca ma zadanie wyprowadzać go z pustyni abstrakcyi, wstrzymać go od wzięcia syllogizmę za słuszną przyczynę, da mu usłyszeć dźwięki serca, głos uczucia i zniewoli go wbrew swoim hipotezom, uderzyć czołem przed Tym co jest Stwórcą, Ojcem i Opatrznością rodzaju ludzkiego.

Towarzyszka życia artysty otworzy mu źródła prawdziwego piękna, różniaci w duszy jego iskrę tej

piękności Boskiej, niewidzialnej, jedynie zdolnej wlać życie w zewnętrzne kształty którym w ogóle artysta zbytnie holduje.

Towarzyszka życia handlarza, rzemieślnika, rolnika, wprowadzi promyk nadziei, pociechy, poezji, pod ten dach skromny, w tę duszę przytłoczoną pracą i każdodziennymi troskami, ona w nich rozdzieli pochońnię ideału, moralności i religii, w razie jeżeli takowe przygasną.

Tak więc dla kobiety wszędzie jest jej właściwe miejsce: wszędzie wpływ jej działać może dobroczynnie bez żadnej potrzeby wystawienia jej osoby na publicznej widowni, — podobnie do ducha niewidzialnego utajonego w największym przybytku.

Jest-że to posłannictwo do pogardzenia? Ono jedno może wytłumaczyć i usprawiedliwić miłość prawdziwą, to uczucie łączące w sobie poszanowanie, uwielbienie, poświęcenie i wdzięczność; tę miłość, sprawcę największego z cudów, bo jedną duszą dwie istoty ożywia. W piśmie powiedziano wprawdzie: będzie was dwoje w jednym ciełe — bowiem Pismo tak się wyrażało językiem jaki jedynie był zrozumiałym wówczas dla ludzi, — a trzeba tak tłumaczyć: „będziecie jedną duszą, jednym umysłem i duchem“. Takie jest najwyższe prawo! Dzięki temu prawu wierność staje się powinnością, równość obowiązkiem i praw może być uzaana, a miłość czyni konieczną, — tak w porządku społecznym, w moralnym, jak i w religijnym, — świętą małżeństwa ustawę.

Lecz jakąż wielką odległość dzieli związek taki jak go określiliśmy od małżeństwa, jakie po największej części miejsce jego pomiędzy nami sobie przywłaszczyło. Prawda, że kobieta nie jest już jak na starożytnym Wschodzie niewolnicą, ani jak w Grecyi sztuki przedmiotem, żywym posągiem olśniewającym jedynie pięknością kształtów, wdziękiem fizycznym, ani nawet jak w Rzymie strażniczką czystości plemienną; dla której wyczerpano wszelkie zasoby pogrzebowych pochwał, mówiąc: „Strzegła domu, wełnę przędła, żyła w skromności.“ Ale dziś za to znów co innego, niestety! czasami pomiędzy nami jest ona tylko — posągiem! Alboż to rzadko blask jej oczu zaćmiony bywa łuną bijącą od jej szkatuły?

I czemuż w ówczesne małżeństwo takie? Interesem po prostu, i najsmutniejszym ze wszystkich, gdyż i pobudka do niego czysto materialna i to bardzo nizka chciwość pieniędzy.

We wszystkich językach jest podobne przysłowie „u wdowy chleb gotowy.“ Jeżeli dalej dotychczasową drogą postępować będziemy, jest w istocie obawa aby wszystkie małżeństwa na to samo nie zeszyły. Kwestja piędźna, oto plaga społeczeństwa nowych czasów; kwestja ta porusza się wszędzie, pod wszelakim kształtem, na każdym miejscu, chcesz uciec od niej, porzucasz dom, pracownię, warsztat, już-ci ją spotykasz u sąsiadów; wybiegasz z życia rzeczywistego by choć na chwilę schronić się w dziedzinę wyobraźni, i tam cię ona ściga; w literaturze, na scenie najrozmaitsze talenta napróżno starają się zakląć to widmo, by wolny otworzyć przewiew dla technienia miłości, poezji, młodości, ale i ci już nie umieją szczęścia bez milionów odmalować. Dla bytu rodziny trzeba dużo, bardzo dużo, inaczej to nędra, niedola. Otóż niech się z mojej naiwności śmieją, ale ja powiem: nie, szczęście nie tak drogie dla tego kto go umie szukać, kto godnym posiadania onego, zdobędzie je przez życie zacne i czynne. Ja rzeknę do młodzieńca: zacznij od spłacenia długu względem społeczeństwa przez wykształcenie się w jakimś powołaniu użytecznym i zaszczytnym, a skoro sobie i światu dowiodłeś że je umiesz, i spełniasz uczciwie, wtenczas wybierz sobie towarzyszkę godną ciebie, którąbyś mógł nazwać jak Pismo mówi: „małżonką twojej młodości,“ zespól z twoim losem dziewięć skromną i tkliwą, której serce bije zgodnie z twoim sercem, której myśl twojej odpowiada myśli, która cię nigdy nie zapytała ażali droga bogactw i zaszczytów otworem ci stoi, i której ty sam nie spytałeś o cyfry jej posagu, lecz która ma pełne postanowienie żyć jedynie przez ciebie. Jeżeli to uczynisz, poczujesz natychmiast jak się zdwoją twoje siły, spotęgują zdolności, jak się dusza twoja wzniesie. Podporę znajdziesz, pociechę i natchnienie na zewnątrz w tej samej potędze która w naszym ognisku domowym roznieca wesele, urok i siłę.

Potem, być może iż zabraknie wam pod stopy kobierców, na ścianach zwierciadeł i złocistych bronzów, sreber na stole; i za to nie ręczę czy po śmierci zostawisz galerję obrazów, którą będą licytować za

nie wiem ile milionów; lecz zawierz mi, że jeżeli o tych wszystkich nie zamarzysz przepychach, szczęśliwsi będziecie i bardziej z losu waszego dumni niżeli najwięksi świata mocarze. Nie wiercie ty m co wam powiedzą że doświadczenie prędkiej lub późniejszej rozwiję podobne znużenie i że odpokutujecie kiedyś za te złote mrzenia: ci prorocy nieszczęścia są raczej sami złej zmyry igraszką. Jeżeli doświadczenie wypływa ze źródła czystego, i jeżeli idzie w parze z życiem uszlachetnionem, w tenczas ono przeciwnie nauczy człowieka iż tam jest właśnie kapitał życia, że ten więcej użył kto więcej i lepiej kochał, kto swoje serce dobrze ulokował i dobry mu dał obrót.

Nie dosyć jednakże uważać małżeństwo ze stanowiska moralnego, trzeba jeszcze je pojąć jako ustawę cywilną, zostającą pod zwierzchnictwem spraw społecznych.

Jakże to, powie ktoś, społeczeństwo może się wtrącać w sprawy duszy, w interesu serca? Społeczeństwo jest w tem bezpośrednio interesowane, gdyż ustawy jego muszą być o ile możności wyrazem praw jakie sumienie na nas wkłada, — gdyż społeczne ustawy powinny się zbliżać do owego idealnego typu, za którym wewnątrznie sami w sobie ubiegają się mamy. Nadto, społeczeństwo obowiązaniem jest zapobiegać poniżeniu istoty człowieczej. Otóż, kobieta będzie skazaną na prawdziwe służebnictwo, jeżeli małżeństwo nie ma być pod pieczęcią prawa, upośledzenie zaś kobiety pociągnięte za sobą poniżenie mężczyzny. Poniżenie obojga to upadek społeczeństwa. Ono zatem musi rozciągać opiekę nad przyszłymi zobowiązaniami, a dla osiągnięcia tego zbawionego celu, czuwać musi nad wiarą zaprzysiężoną; kiedy dwa serca pragną się połączyć w godziwej miłości, gdy dwa żywoty chcą się złąć w jeden przez węzeł szanowny, trzeba aby im społeczeństwo zabezpieczyło ochronę przeciw niestałości, płochości, przeciw zaćwagom samolubstwa i niewdzięczności. Kobiecie szczególniej opieka taka niezbędna: mężczyzna umie sobie poradzić aby się bez niej obejść. A więc małżeństwo jest właśnie ugodnieniem i wyzwoleniem kobiety.

Dodać tu trzeba także iż małżeństwo, to zobowiązanie się wzajemne należenia bezpowrotnie jedno do drugiego, przyjęte najprzód w obec sumienia a następnie w obec prawa, jedyną jest granicą dzielącą miłość godziwą, prawą, zaszczytną, od innej. Jakże, ten który kocha osobę wolną i godną szacunku uczuciem godnem tej osoby, który gotów wszystko poświęcić nie tylko dla niej, lecz dla jej szczęścia dla jej czci, a nawet jedynie dla zyskania sobie jej przychylności, i ten wahałby się dać jej swoje nazwisko, uznać ją za dozoną towarzyszkę w obec swojej rodziny, przyjaciół, w obliczu całego świata? Ależ takie holdy, to ubliżenie, zniewaga. Samo zmuszenie kobiety do uczynienia podobnego zapytania byłoby już obelgą, i żaden mężczyzna nie umiałby odpowiedzieć na nie, gdyż każdy w nim uzna nieprzepartą prawdę. Kobieta której pojęcie do tej wysokości nie dochodzi, taka nie kocha bo jej nie miłości wzajemnej potrzeba, tylko ubliżającego jej holdu.

Miłość i litość to dwie rzeczy gruntownie różne. Pierwsza nam zaszczyt przynosi, wywyższa, druga nas poniża, upośledza, oddaje w moc tego który nam raczej rzucić tę lichą jałmużnę swojej duszy. Ja wcale się nie godzę na pojęcia wyrażone w pewnym dziele, które przed niedawnym czasem wiele zyskało rozgłosu, należnego z kąd inąd znakomitemu talentowi: książka ta ma tytuł: *O miłości*.

W dziełku tem kobieta przedstawiona jest jako niedołąga, której na wszystko powinno się pozwalać, bo ona nie panuje nad swoją wolą, bo nie ma władzy nad swoją duszą, dla której pobbazanie raz na zawsze powinno być przyznaniem, bo jej natura odmówiła wszelkiej odpowiedzialności. Wątpię aby się znalazły takie kobiety któreby przyjęły takie stanowisko, którymy hold podobny wydał się pochlebnym i zaszczytnym. Co do mnie, gdybym był na ich miejscu, czułbym się dotkniętym aż do głębi duszy, by być podobnym do owej istoty bezwładnej którą pieszczą bo wdzięczna i urocza, do tego dziecka które się nie spuszcza z oka, któremu przebacza się wszystko, bo ono do niczego nie zdolne i nic nie rozumie wolałbym podzielać los najniższego wyrobnika, brać udział w najcięższych jego pracach, jak on codziennie znojem oblewać skronie, a nawet wyrzutow jego słuchać, jeżeli za mało wysiłek w pomoc mu przynoszę, jeżeli nie dosyć oszczędzę mu trudów przy zdobywaniu powszedniego chleba. Tak, wolał-



był jego wymówki, grubiaństwo, obelgi nawet, niż być usuniętym do rzędu istot wyjętych z pod odpowiedzialności, pozbawionych zmysłu moralnego.

A jednak po tem wszystkim dodam, iż jestem stronnikiem owego artykułu kodeksu cywilnego: „Od żony należy się uległość względem męża, mąż winien opiekę żonie.“ Artykuł ten uważam za słuszny i potrzebny.

Jakże się pogodzi ta pochwalna przeze mnie podrzędność, z przeznaczeniem kobiety jakie sam jej wskazuję, z tą bezwzględną równością praw i obowiązków o którą upominam się w jej imieniu. Ta równość bezwzględna praw i obowiązków istnieje w sferze moralnej, ugruntowana jest na zobowiązaniu ufności, rozwijać się powinna w życiu rodzinnem, w przybytku domowym, lecz rodzina wzięta zbiorowo jest istotą cywilną, potrzebującą przedstawiciela na zewnątrz, który po za jej obrębem ma sprawy do załatwienia, na którym polega jej wyżywienie i utrzymanie, bronienie jej od wszystkiego coby jej zagrażało mogło. Któż więc będzie bronił ją i przedstawiał, kto udźwignie te ciężary, kto będzie jej rzecznikiem, obrońcą, opiekunem w ścieraniu się spraw z domowych, w obec zewnętrznych potęg, któreby ją mogły aż w samym jej łonie osiągnąć? W tem to leży pytanie.

Dajmy na to że stało małżeńskie porozumiewa się jak najdoskonalej we wspólnym domowym życiu, dopóki nie zachodzi żadna kwestja zewnętrzna, lecz oto trafia się konieczność powzięcia jakiegś ważnego postanowienia, idzie o zmianę pozycji, miejsca zamieszkania, o sprzedaż części dóbr, i na to nie ma zgody. Pozwalam że dla większej części małżonków jasnieją bez przerwy błogie dni rajy ziemskiego, ależ się znajdują niektóre wyjątki, i niekiedy potrzeba pogodzić rozdwojone wole. Cóż wterczas będzie, jak tej niegodzie koniec położyć? Czyż się uciec do rozwodu dla niezdolności usposobień? Wyjdzie to na jedno co powiedzieć iż małżeństwo nie istnieje. A gdyby postanowić losowanie jak w sprawach politycznych, i przysądzić prawo większości głosów? kiedy tu tylko dwa są głosy: a więc trzeba koniecznie ażeby jeden przeważał nad drugim. Który więc?

Tak postawione pytanie samo sobą się restryguje. Powtórzmy raz jeszcze: kobiety udziałem życie domowe, przybytek rodzinny, tam ona rozwija całą swą powagę, całą energię, tem skuteczniejszą im bardziej jest łagodną i trafiającą do przekonania; tam się uwiidomia ile w niej siły cudownej. Ona jest królową, pszczołą, jak powiedział jeden ze starożytnych, zabierz ją z ula a wnet nie będzie smaku ni zapachu w miodzie, i rój się cały rozpierzchnie. Ale na zewnątrz czyż ona ul od obcej napaści obroni? Czyż ona zniesie ze świata wszystkie materiały do zapatrzenia młodego pokolenia i całej rodziny w potrzeby niezbędne do jej utrzymania? Tak i w ludzkiej rodzinie królowa matka panuje i rządzi w domu, lecz po za domem trzeba innej siły, by stawiła czoło burzom światowym, materialnym trudnościami, zmiennościami fortuny, by z zewnątrz obwarowała dobrobyt i bezpieczeństwo domowe.

Nie idzie wszakże zatem, ażeby mężczyzna samowolnie i bez przypuszczenia kobiety do udziału w radzie postanowienia tworzył. Nie, to jest druga połowa jego samego, winien w niej uszanować wszelkie prawa jakie jej uczucie moralne przyznaje, z nią winien rozstrząsać i za wspólnym porozumieniem się rozstrzygać: lecz ostateczne postanowienie i wykonanie tegoż należy do niego, bo on jest władzą wykonawczą, świecką.

Kobieta w małżeństwie jest czem kapłan w społeczeństwie, władza świecka nie przystoi jej; ile w niej zyskuje tyle utraci w duchowej; to więc granica po za którą wyjście dla niej samiej jest ze szkoda, a w tem leży także wszelka siła, trwałość i harmonja małżeństwa.

Ow zatem artykuł kodeksu cywilnego jest wyrazem zdrowej myśli, niesprzeczny w niczem z najtkliwszym przywiązaniem, równością praw i zgodą. Zbyt długo twórcy utopji ścigali nas swojemi mrzonkami, ukazując nam cel idealny wysoko nad nami postawiony, potrzeba nam wytknąć drogi praktyczne do osiągnięcia owego; w nich jedyna rękojmia życia rzeczywistego, a tem samem w prawie odpowiadającym potrzebom rozsądku i natury ludzkiej. Jasno to w oczy wpada skoro po głębokiej rozprawie uznamy, jak w szelkie prawa i obowiązki są porządkiem przyrodzonym rozłożone w rodzinie, jak najwyższe powołanie z którego prawa te wypływają dzieli się

niejako pomiędzy dwoje, z których każde jest istotą ludzką zupełną, każda przedstawia duszę całokwitą a jednak różną zdolnościami. — słowem jak wielka czynność postępu moralnego w społeczeństwie dopełnia się w rodzinie za pośrednictwem kobiety.

Gor...

## NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg.)

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

W ZAMIEĆ ZIMOWĄ.

Wieczór był zimowy i ciemny. Mózg tęgi — śnieg szerokim białym rozłogiem przykrywał ziemię i drobną mgłą sypał z góry — wichur gwałtowny szalał po polach.

Drogą do miasteczka X. wiodącą, jechały zgrabne sanie zaprzężone czterema końmi w lice, mimo przeszkód ze śniegu i wichru posuwały się dość szybko, bo konie były rosłe i dzikie, do dyszła przywiązany dzwoneczek smętnym dźwiękiem odzywał się niekiedy, ale najczęściej nie słysząc go było wśród odgłosów zimowej burzy.

Na saniach siedziało dwoje ludzi: — mężczyzna otulony niedźwiedzią szubą — i kobieta otulona lisową salopą w chustce i kapturze. Nie mówili do siebie bo też i trudno było mówić podróżując w taką porę, usta zziębnięte z trudnością by się otwierały, a wśród huku wichrów głos ludzki musiałby prawie niedosłyszalnym zostać.

Raz tylko gdy sanie wjechawszy jedną stroną płozów na zaspę śniegową przechyliły się i groziły wywrotem, kobieta krzyknęła z przestachu, mężczyzna zwiócił się ku niej o ile mu na to pozwalał ogromny kołnierz futrzany i wyrzekł:

— Czegóż się obawiasz?

W głosie jego nie było bynajmniej czułości ani troskliwości, owszem pewna niecierpliwość.

Kobieta nie odpowiedziała.

Sanie przechyliły się jeszcze kilka razy grożąc wywrotem, konie zaczęły płoszyć się i zbaczać z drogi.

Kobieta milczała.

Nagle konie licowe stanęły dęba, dyszlowe rzuciły się w bok i pociągnęły za sobą sanie które omal się nie wywróciły.

— Pawełek! po jakimu to wieziesz? Krzyknął mężczyzna.

Furman wstrząsnął się jak obudzony z drzemki, poskromił konie lejcami i sanie posunęły się równiej. Ujechali z wiorstę. Kobieta pochyliła się ku mężczyźnie o ile jej na to pozwalał kaptur i chustka i rzekła.

— Olesiu! zdaje mi się że Pawełek nie jest trzeźwy.

— Przywidzenie! odpowiedział krótko mężczyzna i otulił się lepij futrem.

— Czy zimno ci Olesiu? zapytała troskliwie kobieta. Mężczyzna nic nie odpowiedział.

Jechali znowu w milczeniu z pół wiorsty aż z pomiędzy mgły śniegowej poczęły błyskać z razu oddalone potem coraz bliższe światła.

— Chwała Bogu! zawołała kobieta. Widać już X. już tylko milę będziemy mieli do domu!

— Ruszaj żywić a staniesz przed oberżą Szlomy, aby konie wytchnęły, rzekł do furmana mężczyzna. Sanie wjechały małemi domkami w ostawioną ulicę miasteczka i po chwili stanęły przed wrotami oberży. Tu zaciszniej było trochę, obszerna budowla zasłaniała z jednej strony od wiatru, z przodu jednak szalał on swobodnie po pustym placu i lecał nad dachami małych domków, sypał z góry gęstą i ostrą kurzawą śniegu. Mężczyzna odezwał się do furmana:

— Zejdz z kozła i obejrż licowe konie, zdaje mi się że coś się zepsuło w uprzęży.

Furman usłuchał rozkazu i opuściwszy swe miejsce nie pewnymi krokami zaszedł przed konie.

Mężczyzna podniósł głowę i spojrzął na okna facjatki. Oświetlone one były i chwilami gdy wiatr przycichał, wychodził przez nie na zewnątrz niewyraźny gwar głosów. Mężczyzna wysiadł z sani i rzekł do swej towarzyszki:

— Mam interes do Szlomy i muszę zobaczyć się z nim przy sposobności. Poczekaj tu na mnie chwilę najdalej za dziesięć minut wrócę, a tymczasem konie wytchną. Rzekłszy to zniknął we wrotach oberży.

Kobieta została na saniach. Wiatr dął ciągle od pustego placu i zasypywał ją śniegiem: furman stał przed końmi i odzywał się do nich ochryplym głosem, a niekiedy uderzał się z całej siły rękami o piersi dla rozgrzania z ziębniętych członków.

Minęło dziesięć minut, minął kwadrans a mężczyzna nie wracał z oberży. Chwilami ucichał wiatr, rozstępywał się przed oczami siedzącej na saniach kobiety tuman śniegowy i zdala, z drugiego końca placu występowała na tle białego powietrza szara wieża kościoła: w tych samych chwilach widniej jaśniały oświetlone okna facjatki i z za szyb zapruszonych śniegiem widać było cienie wielu poruszających się tam postaci.

We wrotach oberży skrzypnęły po śniegu stąpania.

Kobieta z widocznym zadowoleniem zwróciła ku nim głowę, ale zamiast mężczyzny w niedźwiedziej szubie ukazała się kobieta z chustką narzuconą na głowę i do sań podeszła.

— Dobry wieczór pani! ozwała się z żydowskim akcentem.

— Dobry wieczór, pani Szlomowej! odparła kobieta.

— Ny, czego pani tu siedzi na takim wietrze i zimnie? czemu pani do oberży nie wejdzie?

— Dziękuję pani Szlomowo, mój mąż poszedł tylko na chwilę dla ułatwienia interesu ze Szlomą, zaraz wróci i pojedziemy do domu.

— Ny! zawołała żydówka, Szlomy w domu nie ma, nie dawno pojechał do Wilna woły sprzedawać. Pani mąż poszedł na sań, tam obchodzą urodziny pana Franusia Siankowskiego.

— To wszystko jedno moja Szlomowo, w każdym razie mąż mój zaraz wróci i pojedziemy, nie chcę więc na kilka minut z chodząc z sań i rozbierać się.

— A jak on tam długo zabawi? ozwała się jeszcze żydówka.

— To bydz nie może, przecie zostawił mi tutaj i nie zechce abym długo czekała.

Gdyby nie tuman śniegowy i zmrok nocny, można by dostrzedz na ustach żydówki dziwny uśmiech wywołany temi słowami kobiety, a w którym łączyło się szyderstwo z rodzajem politowania.

— Ny, jak pani chce, rzekła, dobranoć pani nie mogę dłużej zostać tu tak zimno.

— Dobranoć pani Szlomowa.

Stąpania żydówki poskrzypiały po śniegu łącząc się z postękiwaniem na zimno, i skulona od chłodu postać jej zniknęła we wrotach.

I znowu w koło sań na których siedziała kobieta, szalały wichry szumiąc i jęcząc u węglów oberży: śnieg ostrym pyłem w twarz ją uderzał, a gdy zawiwawszy kilka razy w powietrzu opadał na ziemię, ukazywała się w dali szara wieża kościoła i kilka zamglonych światłek błyskało z oddalonych domostw.

Znowu minął kwadrans a towarzysz kobiety siedzącej na saniach nie wracał.

Nagle za saniami daleko, zabrzmiał dzwoneczek z jakim po śniegiem pokrytych obszarach litewskich zwykle zimą jeżdżą podróżni.

Konie licowe poruszyły głowami a zarazem dzwoniem, który jęklivem echem odpowiedział tamtemu, dalekiemu, lecącemu od pół okrążających miasteczko. Daleki dzwonek stawał się coraz bliższym, wiatr dźwięki jego coraz wyraźniej przynosił pod oberżę, w końcu słysząc już było i skrzypienie płozów po śniegu, aż za saniami na których siedziała kobieta, stanęły sanie założone dwoma dzielnymi końmi. Z nich rażno wyskoczył mężczyzna w zgrabnym obeście futrze, w barankowej czapce i rzekł do swego furmana:

— Trzeba nam trochę rozgrzać się w oberży Adasiu, obejdz te sanie, które tu stoją i wjedź we wrota, postoi tu z pół godziny a potem ruszmy do domu.



Zmierzał ku oberży, ale zwrócił się raz jeszcze do furmana i zawołał:

— Ostrożnie tylko okrażaj te sanie, abyś nie straszył koni licowych, albo nie zaczęli ich płozami. Potem spojrzaj mimochodem na siedzącą na saniach kobietę i skinąwszy głową jakby w znak podziwienia, wszedł do oberży. Za nim wjechały we wrota jego sanie. Kobieta na dźwięk głosu przybyłego żywo podniosła głowę, ale żywiej jeszcze ją spuściła i ukryła twarz w futrzanym zarekawku.

Tymczasem przybyły przebywszy się usłaną śmieciem i słabo oświetloną palącą się w latarni łójówką, wszedł do pierwszej izby w oberży. Ławy i stoły otaczały ją pod ścianami, wielki ogień palił się na równie wielkim kominię, osłoniętym u góry ceglany dachem wspartym na trzech drewnianych słupkach.

Przed ogniem stała Szlomowa otyła i przysadzista żydówka w ryżej peruce, nad którą sterczał czepiec z brudną żółtą kokardą, w wyszarzaną jedwabną spódnicę mającą u dołu szeroki szlak z błota, i w brudnej wełnianej chustce z pod której wysuwało się kilka sznurków pereł, spiętych na przodzie złotym staroświecko wyrabianym w ażur fermoarem.

Płonące łuczywo zatknięte u belki sufitu czerwoną luną oświetlało wschodki, prowadzące na facjatkę: przez wpółotwarte drzwi do sąsiedniej izby, widać było łójówkę, dopalającą się na stole w mosiężnym lichtarzu, i odzywał się szwargot miszurysa rozmawiającego z kilku wraszakliwymi bachorami. Gdy skrzyknęły drzwi od sieni Szlomowa odwróciła twarz od ognia i wielce uprzejmy uśmiech rozjaśnił jej rumiane i zaokrąglone oblicze.

— Oto gość! zawołała do wchodzącego mężczyzny, ny gość! Już my kopę lat nie widzieli pana Topolskiego dobrodzieja w naszej oberży.

— Dobry wieczór pani Szlomowej, odpowiedział Topolski zdejmując futro. Ziębłem potężnie! bądź łaskawa i urządz coprzedziej herbaty, a tymczasem daj mi kieliszek stariej wódki, dla rozgrzania się i memu furmanowi także! Zbliżył się do ognia a Szlomowa wołała na miszurysa aby co prędzej nastawił samowar. Sama zaś przysunęła gościowi krzesło przed ogniem, postawiła przed nim mały stoliczek i zaczęła szukać w szafce stariej wódki.

— A zkaż do pan dobrodziej wraca? spytała brzęcząc szkłem w szafa.

— Z powiatowego miasta pani Szlomowo, opłacałem tam podatki i załatwiałem inne majątkowe sprawy.

— Aj! Aj! to pan aż sześć mil ujechał w taki mroź!

— A w gorszą jeszcze zamieć! dodał Bolesław.

Sz lomowa postawiła przed nim butelkę i kieliszek.

— Powiedz mi pani Szlomowo, mówił Bolesław nalewając trunku do kieliszka, co to za kobieta w takiej okrutnej niepogodzie, siedzi tam na saniach przed waszą oberżą?

Sz lomowa dziwnie się uśmiechnęła.

— To młoda pani Snopińska! odrzekła.

Ręka Bolesława niosąca do ust kieliszek zdrżała.

— Pani Snopińska? z Niemenki? zapytał jakby nie wierząc własnym uszom.

— Aha! odparła twierdząco żydówka.

Bolesław postawił na stole nietknięty kieliszek. Milczał i spuścił oczy. Sz lomowa patrzyła na niego z wyrazem w którym łączyła się życzliwość i ciekawość.

— Et, ozwała się po chwili, on sam siedzi u nas na sali już z pół godziny, a ona tam marznie na saniach biedaczka!

— I pokiwała głową z politowaniem.

— Jakto! zawołał Bolesław, mąż jej jest tutaj i pozwala na to, aby ona tak długo wystawiona była na taki chłód, wicher i zamieć!

Twarz jego blada przed chwilą, zapałała.

— Ny! ozwała się Sz lomowa, co pan chce? już on taki! Jak zobaczył światło w oknach naszej sali toć zaszedł, a jak zaszedł to i wyjść trudno!

Bolesław zaczął chodzić po izbie. W tej chwili nie wyglądał już na ziębnętego człowieka.

— Ależ to okropne! mówił do siebie, tak obchodzić się z żoną w półtora roku po ślubie, cóż to będzie dalej!

Sz lomowa prowadziła za nim wzrokiem, w którym wyrażało się poczciwe współczucie i dosłyszana ostatnie wyrazy Bolesława.

— Ny, rzekła, co będzie dalej? ja panu powiem źle będzie. Ten pan Oleś to strasznie pusty człowiek! Z początku niby to dobrze było, wziął się do gospodarstwa i zdawało się że usatkuje się, ale krótko było tego dobrego — już z pół roku jak znów zaczął bywać u nas na sali, po dawnemu grać w bilard a nawet już i w karty zaczyna. My że Sz lomą nie kontenci z tego, bo choć to dla nas zarobek jak panowie bawią się na sali, ale dość jest na to kawalerów i bogatszych panów jak ten pan Oleś. A żonatemu to już i wstyd i grzech żonę porzucić i dom przytem. Panią Snopińską my znali od dziecka i ztego jej nie życzym, ny, ale co my na to poradzić..... oberża dla wszystkich stoi.... A czy on tylko tutaj bawi się... my choć żydzi a wiemy o wszystkim. No, już i u pani Karlicz znów zaczął bywać, a dziś to i żonkę do niej powiozł.

— Jakto? on znowu u pani Karlicz bywa? zawołał Bolesław stojąc nagle na środku izby.

— Coś więcej jak rok po ożenieniu się nie bywał, ciągnęła żydówka, ale w przyszłym miesiącu pierwszy raz pojechał a potem prędko drugi raz....

Oczy Bolesława zaiskrzyły się, zacisnął zęby i znowu szerokimi krokami chodził po izbie.

— Biedna! biedna! mówił z cicha do siebie.

Zbliżył się do okna, chciał spojrzeć przez nie na stojące u wrót sanie, ale szyby zamazane były.

— Ona zaziębi się i zachoruje! rzekł znowu do siebie i nie odwracając twarzy dodał głośno.

— Czemuż pani Szlomowa nie poprosi pani Snopińskiej, aby weszła tymczasem do karczmy?

— Prosiłam ale nie chce — mówi że mąż zaraz wróci i pojedą! On tam do północy będzie siedział i nie przypomni o żonie.

Bolesław nie odwracał twarzy od szyb zamazanych: upłynęło parę minut a wiatr na dworze zdawał się wzmaczać — uderzał o ściany karczmy i cisnął o okna ostrym śniegiem który dźwięczał po szybach.

Sz lomowa patrzyła na odwróconego od niej Bolesława i kiwała głową z politowaniem: nagle wiatr zadął z hukiem podobnym do grzmotu i piskliwie a przeciągle zajęczał pod oknami.

Bolesław poniósł rękę do czoła.

— Nie, to nad siły moje! ja nie przeniosę aby ona tam dłużej była! zawołał zapominając obecności Sz lomowej, i pochwywszy czapkę, bez futra wybiegł z izby.

Przed wrotami oberży sanie stały ciągle na jednym miejscu: konie parskwały od wiatru dmuchającego im prosto w oczy, furman tupał nogami stojąc na przodzie, kobieta siedziała na saniach z twarzą ukrytą w zarekawku. Bardzo znać zatopiona była w myślach bo nie słyszała kroków zbliżającego się Bolesława.

— Pani Wincento! rzekł on stając tuż przy saniach, Wincenta drgnęła i twarz podniosła, z piersi jej wyrwał się słaby wykrzyk.

— Dobry wieczór pani, rzekł Topolski a głos jego wielkim może wysiłkiem woli, brzmiał całkiem spokojnie.

— Dobry wieczór panu, odpowiedziała Wincenta tak cicho, że zaledwie ją dosłyszeć można było.

— Wsiądź pani z sań i wejdź do ciepłej izby, rzekł Bolesław, bez żadnych wstępów łagodnie ale prawie nakazująco.

Wincenta milczała parę sekund, potem odpowiedziała z widocznym wysiłkiem.

— Mąż mój zaraz wróci.

— To dobrze, ale tymczasem wejdź pani do oberży inaczey przeziębiesz i zachorujesz, tym samym głosem rzekł Bolesław.

Wincenta nie odpowiedziała tym razem, zdjęła chustkę która okrywała jej głowę, rzuciła ją na sanie i z widoczną ciężkością jak każdy czyje członki mocno są zziębnięte, zstąpiła z sań na ziemię. Bolesław podał jej ramię, mileżąc wprowadził ją do izby, pomógł zdjąć futro i kaptur i wskazał krzesło przed ogniem stojące, potem zwrócił się do Sz lomowej:

— Herbaty! co prędzej! rzekł.

Wincenta usiadła, Bolesław stanął naprzeciw niej oparty o wysoki mur komina.

Milczeli kilka minut i patrzyli na siebie. Może dopatrywali w sobie zmian jakie zająć w nich mogły przez kilkanaście krótkich, ale tak ważnych w ich życiu miesięcy. Od chwili rozstania nie widzieli się ni razu: Bolesław nie bywał nigdzie, mogli się byli spotkać i zobaczyć u wejścia lub

wyjścia z kościoła, ale Bolesław przyjeżdżał tam od onej pory zwykle późno, wtedy gdy wszyscy już byli zebrani na nabożeństwie, modlił się u progu i odjeżdżał przed końcem nabożeństwa.

Wincenta zmieniła się bardzo, nie było to już dziewczę ale kobieta, nie Wincenta ale Wincenta. Zdawało się że urosła trochę, a zarazem wyszczuplała, cera jej nabrała przezroczyściej delikatności właściwej kobietom uczuciowym i słabym fizycznie, oczy były mniej błyszczące a powłokły się wilgotnym, przyémionym połyskiem, zamiast warkoczów nad czołem włosy jej tworzyły z tyłu głowy misterne zwoje. Wyraz jej twarzy stracił całkiem dawną naiwność i swobodną wesołość, ale jaśniał teraz w oczach całą rozbudzoną, a pojętną myślą i zawiśał nieokreślonym smętkiem na ustach. Znać było że przez czas ubiegły dojrzała stopniowo: z jedwabnych pieluch gasienicy stawała się motylem o rozwiniętych skrzydłach ducha; była i mniej piękną i piękniejszą jak dawniej, ludziom bardzo wesołym nie mogła by się podobać, smutnym nieco, przypadła by od razu do serca. Chociaż nie wydawała się nie szczęśliwą, nieokreślony smutek oblekał całą jej osobę, objawiał się w powolnych ruchach, przeciągłym spojrzeniu i przezroczyście błędnej twarzy, ubiór jej był piękny nie ledwie wytworany, składał się z czarnej jedwabnej bardzo długiej sukni, i leciuchnej białej koronki przypiętej na włosach szpilkami o złotych gałkach.

Bolesław zmienił się też nieco, ale mniej od Wincenty. Cera jego pobladła też trochę: między brwiami powstała jedna podłużna zmarszka, której dawniej nie było: w spojrzeniu uprzednią rzewność która się w nim przebijala niekiedy, zastąpiło poważne smutne nieco zamyślenie. Znać było że duch jego skapał się w długim tajemnym cierpieniu i w cichych samotnych rozmyśleniach, ale zarazem cała jego postać nacechowana była spokojem człowieka będącego w zgodzie z sobą samym, logicznie i wytrwale dążącego do raz obranych i umiłowanych celów. Węgierska czamarka, ozdobami przypominająca strój rycerski uwydatniała męską siłę jego postaci, tak samo pełnej ładu i dbałości ale i ściślej prostoty jak dawniej.

Oboje patrzyli na siebie długo i milczeli: zdawało się że w twarzach i postaciach swoich wzajem czytają historję dni przebytych w rozłączeniu.

Sz lomowa postawiła na stole dwie szklanki z herbatą i dyskretnie usunęła się do przyległej stajni.

Bolesław pierwszy przerwał milczenie.

— Dawno nie widzieliśmy się z panią, rzekł z uśmiechem w którym znać było trochę wysilenia.

— Półtora roku odrzekła Wincenta, teraz mamy koniec Lutego a ostatni raz widzieliśmy się...

— 28 Lipca, dokończył Bolesław.

To jakby umyślnie przywołanie na usta daty pamiętnej w życiu ich obojga, wyraźnie wypląnęło z serc ścisniętych. Wincenta spuściła oczy, Bolesław spojrział machinalnie w płomień i brwi jego ściągnęły się na chwilę, jakby poczuł ból nagły. W mgnieniu oka rozpogodził twarz znowu i ozwał się usiłując nadać głosowi ton potocznej rozmowy.

— Sz lomowa, mówiła mi, że państwo wracają od pani Karlicz.

— Tak — odpowiedziała Wincenta.

— Jakże się pani podobała pani Karlicz przy bliższym poznaniu?

Tym razem brwi Wincenty ściągnęły się, lekki rumieniec przebił się przez bladą jej cerę. Milczała chwilę wahając się z odpowiedzią w końcu wyrzekła z wolna:

— Niesympatyczna!

Z głosu jej który zdrżał i z wyrazu twarzy, Bolesław musiał wiele rzeczy wyczytać i odgadnąć. Błyskawicznym mgnieniem stanął mu przed oczami jeden z obrazków przeszłości, owa chwila w której na Adampolskiej zabawie, ujrzał Wincentę i panią Karlicz stojącą z obu stron Aleksandra, jak dwa sprzeczne porwijące go duchy. Przypomniał sobie także iż jedna nazwała siebie płomieniem a druga zefirem i pomyślał, że teraz obie te kobiety stanęły zapewne naprzeciw siebie do walki, niby te fatalistyczne wybrane wówczas przez nie sprzeczne żywioły natury. Myśl ta boleśną strzałą mózgu mu przeszła, jego Wincenta, jego idealna i czysta narzeczona, dziecię jego ducha, kobieta z którą lubo rozłączony na wieki czuł się na wieki zareczony, w walce z taką istotą jak pani Karlicz, zbrukana w bezmyślnem, pełnem kapryśnych miłostek i po-



nizającej bezczynności życia? Tu jasno-włosa, przezrocza, wiotka i słaba kobieta jaką miał przed sobą, w walce z tamtą namiętą, czarnooką, płomienną i w walce o człowieka w którego ręku leżała cała jej przyszłość szczęście lub zaguba? Wszystkie wspomnienia i marzenia dawne, cała dobroć jego serca, liłość, gniew głuchy zawrzały w nim razem, ale nie objawiły się na twarzy żadnym widocznym znakiem. Przeciwnie Bolesław uśmiechnął się i rzekł tonem zwyczajnej rozmowy:

— Państwo macie podobno mnóstwo znajomości w sąsiedztwie? Możesz więc pani do bliższych stosunków wybrać te tylko które jej są sympatyczne.

— Nie wiele mam czasu i chęci oddawać się towarzyskiemu życiu, odparła Wincunia i dodała z głębokim wyrazem: mam córkę!...

— A! rzekł przeciągle Bolesław i w głosie jego zadrgał po raz pierwszy ton ostry i gorzki a zarazem oczy sponiewiały, usta okrzykiły się bolesnym wyrazem. Ale krótko to trwało, przywołał zwykłą spokojność na twarz i rzekł:

— Tak, wiem — słyszałem że pani masz córkę.

— Sliczna dziecina! z zapalem matki zawołała Wincunia. Wzrok Bolesława wpatrzony machinalnie w ogień zamglili się wyrazem niezmierniej żalności. Powściągnął ją bardzo prędko i przenosząc spojrzenie na Wincunię rzekł.

— Z całego serca życzę pani, abyś była szczęśliwą matką i żoną.

I wyciągnął do niej rękę. Wincunia podała mu swoją i poczuła uścisk jego dłoni, ten uścisk ciepły drgający tentnem serca, jakim różnił się on od innych ludzi i przed nią stanęła przeszłość cała, ze wszystkimi wspomnieniami i węzłami, które ją niegdyś łączyły z tym człowiekiem odrąbanym przez nią, a tak serdecznie życzącym jej szczęścia: oczy zasły łzami...

W tej chwili skrzypnęły drzwi od sieni i ukazał się na progu człowiek odziany w pretensjonalną liberję osypaną teraz śniegiem.

— Czego chcesz Pawelku! spytała go Wincunia.

— Proszę pani, odpowiedział furman z odcieniem zuchwałości w głosie, który znamionował nie zupełną trzeźwość, człowiek nie pies i dłużej nie ustoi na takim chłodzie a do tego i konie rwą się i nie chcą...

Wincunia wydawała się przez chwilę zakłopotaną, a we drzwiach przyległej izby zjawiała się Szlomowa i rzekła:

— Jeżeli pani pozwoli pójde przypomnę mężowi pani, czeka tutaj i konie stoją na zimnie.

— Dobrze moja pani Szlomowo, odrzekła — a zwróciwszy się do furmana powiedziała mu, aby wrócił pilnować koni, a wnet pan ukończy swe interesy ze Szłomą i pojedaj.

Szlomowa wstąpiła na wschody prowadzące na facjatkę, im dalsza była tem głośniejszy gwar rozmów, śmiechów i śpiewów uderzał jej uszy. Otworzyła drzwi od sali i zatrzymała się przez chwilę na progu uderzona widokiem, który przedstawił się jej oczom.

Na środku billardu stał barczysty i wysoki Franciszek Siankowski, głową dotykając prawie sufitu z kieliszkiem napełnionym w ręku. W koło niego stało w różnych pozach z dziesięciu mężczyzn młodych i średniego wieku między którymi był Aleksander Snopiński, także z kielichami podniesionymi w górę; wyraźnie była to owacja czyniona solenizantowi.

— Niech żyje Franuś! ozwał się rozgłośny okrzyk w chwili gdy żydówka drzwi otwierała, po nim nastąpiła wrzawa, śmiech, koncepty, wykrzykniki nad którymi panował gruby głos Franusia, prawiącego jakąś przemowę w kształcie podziękowania.

Szlomowa której wejścia nikt nie słyszał, zbliżyła się do Aleksandra i pociągnęła go za połę surduta.

— Czego chcesz! utrapiona Szlomowo? zawołał oglądając się Snopiński.

— Przepraszam pana, rzekła żydówka, ale żona pańska czeka na dole w izbie i konie stoją...

Wszyscy umilkli na chwilę, Aleksander pochwycił się za głowę.

— O, dla Boga! zawołał, zapomniałem!

Postawił kieliszek na billardzie i rzekł do towarzyszy.

— No, bywajcie zdrowi! muszę jechać!

— Jaktó! porzucasz nas! zawołało kilka głosów, tak prędko, że nie nie zgodzimy się na to!

Kilka rąk ujęło jego ramiona.

— Bójcie się Boga... żona... zaczął z zakłopotaną miną Aleksander.

Homeryczny śmiech wybuchnął. Franuś stojący ciągle na billardzie, zaczął złośliwie kiwać głową i zaintonował basem piosenkę: *Wilczyśko się ożeniło, uszy opuściło!* Śmiech zdwoił się, a przytem coraz więcej rąk trzymało Aleksandra za poły i ramiona.

— Nie puścim! nie puścim! wołano ze wszech stron.

— Jabyś dalibóg chciał z wami pozostać ale cóż z żoną zrobisz? tłumaczył się Aleksander.

— Ny, może państwo zanocują w oberży? ozwała się Szlomowa.

— Bój się Boga Szlomowo! o milę od domu nocować...

— Mnie spytaj się! krzyknął Franuś zeskakując z billardu, dam ci radę, odpraw żonę do domu a sam zostań z nami!

— Złoty Franuś, kochany Franuś, jedyny do rady! zawołało kilka głosów.

— A cóż może i zrobisz tak, rzekł Aleksander namyślając się.

— Zrób tak, zrób Snopiński! wołano! Cóż się stanie twojej żonie gdy sama odjedzie? Przecie konie masz spokojne i furmana dobrego! zresztą tak blisko...

— Sprobuję, rzekł Aleksander i wybiegł z sali a za nim w pogoń zabrzmiała śród śmiechów hulaszczą pieśń towarzyszy:

„Wilczyśko się ożeniło  
Uszy opuściło!”

— Nie opuściło! zobaczycie że nie opuściło! okrzyknął im ze wschodów już Aleksander, i pędem wbiegł do izby na dole.

Tak był zajęty i zakłopotany, że zrazu nie spostrzegł Topolskiego, który stał pod oknem o kilka kroków od Wincuni; podbiegł do żony i biorąc ją za rękę rzekł śpiesznie:

— Przepraszam cię moja duszko że tak długo czekałaś na mnie, ale prawdziwie nie mogłem wrócić przedź, i teraz gdybyś sama odjechała do domu byłoby bardzo dobrze, bo mnie tu...

— Ależ ja obawiam się jechać w taką noc sama, łagodnie przerwała Wincunia ze zdziwieniem patrząc na męża.

— Czegoż się masz obawiać, moja droga? Pawelek doskonale wozu.

— Ale nie zupełnie dziś trzeźwy... zarzuciła Wincunia.

— Imaginacja! zawołał Aleksander i w tej samej chwili wzrok jego upadł na twarz Topolskiego.

— Pan Topolski tutaj! jak się pan ma! wyrzekł z lekkim zakłopotaniem i nagła myśl błysnęła mu w oczach.

— Co za szczęśliwy traf! zawołał. Wszak państwo jadą w jedną stronę! Pan zechce towarzyszyć mojej żonie do Niemenki? nie prawdaż? Bo widzisz pan ja mam tu tyle interesów...

Bolesław wystąpił z cieniu.

— Jeżeli pani życzy sobie tego z chęcią ofiaruje się jej na towarzysza podróży, rzekł do Wincuni z poważną grzecznością, ale Wincunia powstała z krzesła, iskra energii i żalu błysnęła w jej oku.

— Dziękuję panu, odrzekła, jeżeli mąż mój nie może mi towarzyszyć pojedaj sama. W istocie cóż mi się stać może! I zmierzała ku swemu futru.

— Przepraszam panią, z powagą ozwał się Bolesław, ale na to abyś pani jechała sama w noc tak burzliwą i z nie zupełnie trzeźwym furmanem ja znowu nie pozwolę. Jest tu nas obok pani dwóch mężczyzn, — i skoro jeden nie może drugi *powinien* strzedz panią od wszelkiego niebezpieczeństwa.

Szczególny nacisk położył na wyraz *powinien* i zarazem surowy wzrok utkwiał w twarz Aleksandra. Snopiński spuścił oczy i zdawał się przez chwilę zakłopotany, ale wnet odzyskując zwykłą śmiałość i przytomność umysłu zawołał.

— Nieoceniony pan jesteś pani Topolski! bardzo panu będę obowiązany za przysługę jaką nam obojgu wyświadczasz...

I wyciągnął dłoń do Bolesława. Ale Topolski udał tak zajętego podaniem futra Wincuni, że gest Aleksandra został bez odpowiedzi.

Po chwili wszyscy troje wyszli przed wrota oberży, a za nimi wysunęła się też z latarnią ostonięta

chustką Szlomowa, Bolesław rzekł z cicha do Aleksandra.

— Rozkaż pan swemu furmanowi usiąść na moje sianie, a żonę pańską ja sam powiozę.

Snopiński odezwał się do furmana, pocałował żonę w rękę i wbiegł do oberży, a za nim wróciła Szlomowa postępując na zimno — Aleksander jednym susem był już na wschodach do facjatki, i gdy już na nie wstąpił razem z hukiem wiatru doleciał go z jednej strony śmiech i śpiew hulających towarzyszy, z drugiej dzwonek sań uwożących jego żonę. Przystanął i zamyslił się na chwilę, lekki wyrzut, i niezadowolnienie z siebie samego odbiło się na jego ruchomej twarzy, ale w mgnieniu oka rozpogodził ją poskoczył i z piosnką na ustach wszedł na salę.

Na świecie nocna burza huczała ciągle; wichry leciały z północy, szalały po polach, szumiły, huczały, przyciskały chwilami i zrywały się znowu ze zdwojoną gwałtownością, a nie znajdując żadnej opory na gładkiej równinie, porywał mgłą śniegową, tworzył z niej bryły, tumany i gwałt je wściekle, to rozsypując w proch drobny, kolczaty, to zbijając w masy chmurzyste i lecąc z niemi daleko, szeroko aż pod odległe ściany lasów, o które rozbijał się grzmiając, jęcząc, wdychając jakby zjednoczonymi piersiami mnóstwa olbrzymów.

W górze sklepienie całe oblekło się szarą oponą niby jednolitym na jakimś olbrzymim warstwie utkanym obrusem; ani jednej gwiazdy nie było, dziwne jakieś szelesty płynęły nisko po ziemi, z pod nieba huk zdawał się spadać potężną gammą, przeźrażliwe jęki przeszywały powietrze, i w dali kończyły się westchnieniami, zdającymi się wychodzić z łona zmęczonej i szamotanęj ziemi.

(d. c. n.)

## Korespondencja z Paryża.

przez K. Gr.

(Dokończenie.)

Treść. Umysł młodego — fizjologia — łączność nauk — narzedzia inteligencji — doświadczenia z półkolami mózgowymi — centra nerwowe — funkcjonujące — instynktowe — intelektualne — nerwy wrodzone i później rozwijane — rozwiązanie zadania — nieodłączności fizjologii od psychologii.

Od dawna znana jest prawda, że umysł w młodych latach podobny jest do miękkiego wosku, przybierającego kształty wedle działań na rozwój jego wpływających, lub do młodego drzewka dającego się naginać we wszelkich kierunkach. Spostrzeżenie to znane nawet mędrcom starożytności, oparte było dotąd jedynie na doświadczeniu. Nauka nieznajdowała dość silnych dowodów, usprawiedliwiających zamkniętą w niem prawdę i choć stawiała rozmaite teorie, nie mogły one jednak zaspokoić słusznych domagań ogółu. Obecnie zagadka ta znalazła rozwiązanie, fizjologia na stanowisku dzisiejszem zdarła z niej tajemniczą zasłonę.

Bada ona objawy życia, wyszukuje działaczy jakimi się posługuje, i zaprzatając się poznaniem natury, sięga w wyżyny wiedzy ducha. Minęły dla nauk czasy odosobnienia: rozgranicozone niegdyś, dziś skupiają się, łączą w miarę rozszerzania swych granic, coraz bardziej posilkują się wzajemnie, składając jedną drugą na wzajemny pożytek owoce swych wielkich zdobyczy.

Literatura, filozofja, to tylko starsze siostry nauk ścisłych. W ludzkości najprzód obudzone uczucie, zrodziło poetów: w utworach ich rzuczone myśli więcej poczuły jak pojęte, ocknęły rozum z czego wyrósł filozofowie. Genjusz ludzki nie mógł się tem jednak zadowolnić, a czując brak jakiś, rzucił się do badania natury, do doświadczenia i stworzył cały szereg nauk ścisłych, będących niby koroną wszystkich poprzednich usiłowań. W tym rozwoju duchowym, poezja, filozofja i nauka zmieniały tylko nazwy przechodząc kolejną od uczucia do doświadczenia: dziś nowy zwrot nastąpił w przeciwnym zupełnie kierunku. Zrozumiano że uczucie zbyt porywcze chwytającym czyniło rezum, żeby więc go wzmocnić, żeby uczucie na właściwą sprowadzić drogę, rozpoczęto posuwać się od doświadczenia do przyczyn, badać tajemnice natury a z nich posuwać się ku prawdzie, której poeta nie mógł wskazać a filozof wyrozumować.

Fizjologia zatem na dzisiejszym stanowisku, stała



się łącznikiem filozoficznej wiedzy i fizycznej znajomości natury, której głównie się poświęcając służy filozofii za niezbędną podporę. Ztąd to takie ogólne i wszystkich zajęcia, a szczególnie głębszych myślicieli, pojmujących coraz więcej, że bez jej współudziału, bez jej postępu, w posuwaniu się do prawd wielkich, tajemniczych i jednego kroku nie zrobiją.

Znani powszechnie uczeni jak Magendie, Flourens, Cuvier, Bernard, wykazali jasno licznymi doświadczeniami, że inteligencja narzędzia do swych objawów, posiada w półkolach mózgowych, a siła żywotna porządkująca różne rodzaje funkcji życiowych i stosująca je do właściwych celów, nie mieści się w jednym tylko organie mózgowym, ale i w mnóstwie centrów nerwowych, znajdujących się wzdłuż całej kolumny pa-cierzowej.

Człowiek zraniony silnie w głowę, po opatrzeniu w szpitalu, nie mogąc znieść doznawanych cierpień, odurzony trunkiem zerwał plaster i owiązania, a z niemi wyrwał całą część obrażonego mózgu. Operacja której żaden medyk podjąćby się nie ośmielił, stała się dla niego zbawczą, rana wkrótce się zagoiła, a choć w połowie ciała został sparaliżowany, żył jednak później jeszcze długo. Organizm więc w funkcjach swoich został naruszony, ale życie w nim zostało.

Doświadczenia robione na zwierzętach wyższego rzędu, wykazały również, że usunięcie półkul mózgowych, niszczy wszelką samowiedzę, ale pozostawia funkcje ciała jak krążenie krwi, oddychanie, trawienie wymianę pierwiastków i t. p. nienaruszone, które odbywają się dalej bez przerwy, jakby zwierzę żadnego nie doznało uszczerbku. Za wyjęciem półkul mózgowych, zwierzęta pozbawione samowiedzy i możliwości odbierania wrażeń, nie posługują się już zmysłami; nie będą pobierać pokarmu ani napoju, nie użyją ani skrzydeł ani nóg, ale staną się automatami bezwiednymi, żyjącymi życiem czysto roślinnym. Jeżeli jednak taki gołąb wyrzucony zostanie w powietrze, skrzydła natychmiast rozpuści, a nie mogąc lotem kierować, uderzać będzie o wszystkie napotkane przeszkody i spadłszy na ziemię, już samowolnie najmniejszego nie uczyni poruszenia.

Tak samo jeżeli mu wprowadzimy do gardła materję pożywną, połknie ją i natychmiast rozpocznie trawienie. Nieustanie w nim także ani krążenie krwi ani oddychanie będzie się iskał, napastowany napuszy się, słowem gołąb z pozoru będzie tym samym ptakiem co dawniej, ale z wyjęciem półkul mózgowych zniknie w nim samowiedza i ustana wszelkie ruchy wolnej woli, a zostaną tylko bezświadome i instynktowe, lub wywołane podrażnieniem. Żaba pozbawiona głowy, kluta w grzbiet szczypekami podnosiła nogi i starała się koniecznie usunąć przyczynę bólu jęj sprawiającą. Czynność ta nie była naturalnie aktem dobrej woli, mającym źródło w mózgu, ale wpływem działania centrum nerwowego umieszczonego w szpiku pa-cierzowym, ulegającego zarówno wpływowi woli jak wrażeniu zewnętrznemu. Każda zatem funkcja ciała posiada oddzielne centra nerwowe, rodzaj mózgu niższego rzędu, a choć nie wszystkie są jeszcze znane, fizjologia z każdym dniem nowe odkrywa.

Są więc nerwy funkcjonujące, bezświadome, które niszczone niszczą równie natychmiast przywiązane do nich działania: są także nerwy działań instynktowych, których objaw nie jest wolny choć świadomy. Kaczka np. wysiedzona przez kurę, rzucając się do wody zaraz po wykluciu z jaja, zaczyna po niej pływać z największą umiejętnością, choć się poprzednio tego nie nauczyła od matki. Samo ujście wody było dostateczne do pobudzenia nerwu instynktu wrodzonego. Młody bóbr trzymany w odosobnieniu od samego urodzenia, po nabraniu sił zaczął budować mieszkanie, według sposobu przez inne bobry w stanie dzikim używanego, choć ich nigdy nie widział. I tu także nerwy instynktu pobudzone zostały do działania potrzebą ochrony, jak tylko siły fizyczne doszły do właściwego rozwoju.

Zdolności te niższego rzędu są niezmiennie, nie mogą się wydoskonalać, każde stworzenie rodząc się nerwy do tego posługujące ma już gotowe, skończone i posługuje się niemi wprawdzie ze świadomością ale mimowolnie. Ptak, pszczoła, mrówka, zwierzęta ssące budują sobie gniazda, siedziby, kopią nory, według raz nadanej im formy, ani polepszając ich konstrukcji ani pogorszając. Inaczej się jednak dzieje z wyższymi zdolnościami, nazwę rozumu nosiszącymi. Półkula mózgowie służące za narzędzia ich objawów, kończą swój zupełny rozwój dopiero po

urodzeniu. Dla tego też i działalność ich stopniowo się objawia w miarę rozrostu budowy fizycznej dziecięcia. Cudowne to rozporządzenie Opatrzności odpowiada zupełnie celowi, w jakim człowiek stworzony został.

Gdyby bowiem ustrój mózgowy był zupełnie skończony, wyższa inteligencja zmieniałaby się w prosty instynkt, byłaby w sobie zamknięta i wszystkie zdolności miałyby sobie z góry narzucone. Udoskonalanie się ludzi, nabywanie nowych wiadomości a z niemi ogólny postęp byłby niemożliwym, bo organizm nie posiadałby możliwości, do tworzenia narzędzi temu doskonaleniu się posługujących. W miarę też rozwijania się intelektualnego, nauka wykryła tworzenie się nowych centrów nerwowych, powiększających się w swój liczbę, bo im większe ducha działanie tym większa potrzeba nowych narzędzi do jego usługi. Wychowanie zatem udoskonalając człowieka wpływa na wytwarzanie nowych nerwów intelektualnych, których suma tak wybitnie między ludźmi wytwarza różnice. Człowiek nieoświecony ma ich mniej od wykształconego, człowiek zły ma je inne od dobrego, bo każdy nabytek przez władzę rozumu otrzymany, wytwarza sobie nerw, do odpowiedniej czynności przeznaczony. Duch nasz powłoką okryty w działaniu na zewnątrz musi się i narzędziami materialnymi posługiwać. Jest to prawo nieodwołalne, któremu ulegać musi dopóki z ciałem w nierozrywany pozostaje związek.

Żeby jednak te nerwy intelektualne wytwarzały się, potrzebują czasu, wdrożenia się w nasz ustrój; do czynności będących ich źródłem musimy się przyzwyczaić, nawyknąć, muszą przeniknąć niejako całą naszą istotę, bo nie wytworzywszy się, czynność tę zrobiją tylko chwilową, ciągle ponawianą. Młody wiek jest jedyną i najwłaściwszą do tego porą. Człowiek, pełen siły i rozwoju, nabytki intelektualne wdraża łatwo w siebie, bo mózg łatwo tworzy odpowiednie nerwy, które przez czas wzmacniają się, stają się jakby wrodzonymi, jakby czynności przywiązane do nich przysły na świat razem z dziecięciem. Tworzenie się myśli temu samemu ulega prawu, tak że kiedy jaka myśl zbyt długo nas zaprzęta, zaraz tworzy sobie centrum nerwowe i dla tego choć chcemy co zapomnieć, już tego nie możemy.

Dziecię pomału uczy się mówić, bo centrum nerwowe mowy zwolna się niezmiernie kształci i dopiero z wiekiem wdraża się stanowczo w jego ustrój. Jeżeli dziecię ogluchnie, traci stopniowo i zdolność mówienia stając się niemową: człowiek dojrzwały z utratą słuchu nie ulega tej ostateczności, bo u niego centrum nerwowe mowy już jest zupełnie rozwinięte, więc się stało jakby wrodzonym, gdy u dziecięcia wypadek ten nie ma miejsca.

W tem to mieści się cała tajemnica wpływu wychowania dziecięcia i porównania go do drzewka, dającego się naginać we wszelkich dowolnych kierunkach. Wdrażamy w nie zamiłowanie wszystkiego dobrego, wstręt do złego, a uczucia te zakorzeniwszy się, stawszy się niejako wrodzonymi, już go nigdy nie opuszczają. Zaczne jego dalsze życie, prawe i pożyteczne, stanie się prawie mimowolne i choćby chciał je zmienić nie zdoła tego uskutecznić, bo mu braknie do tego odpowiednich narzędzi czyli centrów nerwowych, przy pomocy których z przeciwnego stałby się mógł niegodziwym.

Niechże jednak z tych wywodów, nikt zbyt materialnych wniosków nie wyciąga. Centra nerwowe intelektualne stanowią tylko środki do przejawiania zjawisk życia na zewnątrz, ale nie wykrywają nam przyczyny ich działania. Włókna mózgowe wiemy że są przewodnikami w działaniach rozumu, ale siła pobudzająca je do tego, usuwa się zawsze z pod dotychczasowych środków badania. Przyznawać im własności rozumowania, pamiętania, myślenia, odczuwania, byłoby najwyższym nierozsądkiem, bo jak narzędziem aby działał porusza człowiek, tak centrami nerwowymi duch ludzki.

I narzędzia i centra nerwowe są niczem, pierwsze bez człowieka, drugie bez ducha właściwą istotę ludzką stanowiącego. W każdym ciele żyjącem znajduje się strona idealna nie ujęta, wiążąca się z jednością planu stworzenia i strona materialna podlegająca ogólnym prawom chemii i fizyki. Między więc psychologią a fizjologią rozdziału żadnego nie ma, tylko psychologia zajmuje się przejawami duszy oderwaną od ciała w postępowym pochodzie ludzkości, i w czynności naszego uczucia: fizjologia zaś zaprzęta się głównie narzędziami jakich dusza w człowieku do objawów swych na zewnątrz używa. Posi-

kują się więc wzajemnie, jedna drugą wspiera i we wspólną dopiero pracy, dają razem ku prawdzie.

Na tem kończę rozprawę moją naukową wychowania dzieci dotyczącą. Jest to tylko szkic, kilka myśli wyjętych z tego co by się dało powiedzieć, ale przy chęciach dobrych wystarczą one, aby centrum nerwowe miłości dla dziecka, jakie każda matka posiada, mogło z nich wyciągnąć dla siebie pożytek.

K. Gr.....

## WODY MINERALNE

W BUSKU.

Uzupełniając wiadomości pomieszczone już w Tygodniku o tym cudownym szafarze zdrowia, pozbawionym wszelkiej przynależnej mu opieki, podamy teraz bliższe i więcej interesujące szczegóły dotyczące jego specjalności. Za źródło do tego posłuży przesłane sprawozdanie, bardzo starannie przez miejscowego lekarza Dra Dymnickiego corocznie układane. Upowszechnianie wiadomości takich uważamy za nader pożyteczne, tak dla mogących kiedyś pomocy wód tych potrzebować, jak dla samego bliższego poznania skarbu, jaki w łonie ziemi naszej posiadamy. Za granicą prawie o nim nie wiedziano, a w Berlinie dopiero w Lipcu r. b. jeden z lekarzy dowiedział się przypadkiem o leczebnych własnościach źródła Buskiego i pacjentów przeznaczonych do Kreutznach wyprawił przecie do Buska. Nie prędko jednak chciał uwierzyć, aby u nas coś lepszego mogło się znaleźć nad to, co posiadają strony świata błyszczące bogactwem i inteligencją. Zapewnienie dopiero medyka z Warszawy przybyłego, przekonało uparte go medyka z nad Sprei, że się myli, że choć tym skarbem możemy się pochlubić i obudzić zazdrość zarówno bliższych jak dalszych, a nawet najdalszych choćby zamorskich.

Własność leczebna źródła w Busku, nie tak dawno jest znaną. Lat temu trzydzieści pięć, w miejscu gdzie obecnie znajduje się zakład kąpielowy, z bocznymi oficynami, z ładnym i obszernym parkiem, było puste pole bez krzaczka, bez drzewka choćby najmniejszego, a w pośród tej pustyni mieściła się studzienka skromnie nader ocembrowana, z małym otworem przy samej ziemi i idącym od niego rynsztoczek. Obfitość źródła wymagała tego urządzenia, rynsztoczek bowiem zbyt czysta woda odpływała w dalekie strony świata, kto zaś pragnął zapoznać się z jej smakiem, sięgał sobie szklanką do studzienki i mógł raczyć się dopóki ochoty starczyło. Na kąpiel wodę czerpano w beczki, przywożono do miasta i ogrzewano rozpalonymi kamieniami. Podający te szczegóły w młodzieńszych latach swego życia, był w ówczas jednym z pomiędzy leczących się jakich nader szczupła liczba do Buska przybywała. Skutkiem opuchnięcia nogi w kolanie, niemożności zginania jęj i widocznego całej usychania, kulejąc, utykając znany był wszystkim i ogólnie wywołał dla siebie współczucie. Skutek następował z cudownym pośpiechem, a choć nagłony wzmagającym się cierpieniem dopiero w połowie Października rozpocząłem branie kąpeli, po pierwszej uczulem ulgę, dostrzegli nawet ją otaczający w raźniejszym chodzeniu, a po siódmiej władza w kolanie powróciła zupełnie, tak że mogłem biegać i skakać jak najzdrowsi moi rówieśnicy.

Podobne wypadki cudownego wyleczenia nóg bezwładnych, ócz niepatrzających, wrzodów niewygojonych, dały rozgłos źródłu Buskiemu, w rok też później, studzienkę omurowano, wzniesiono nad nią małą budowlę a później łazienki i cały zakład obecnie znajdujący się. Rozgłos ten z każdym rokiem wzmagał się, sława ustaliła się i dziś podobno w kraju naszym nie ma zakątka jednego, w którymby o leczebnych własnościach zdrojowiska tego nie wiedziano. Od lat jedenastu ogłaszane sprawozdania sławę tę ciągle podtrzymują, szkoda tylko że wygody dla chorych i wewnętrzne wszystkiego urządzenie w tym samym stosunku nie postępują.

Mając nadzieję że to kiedyś nastąpi, że Busk ściągnie do siebie z cza-em nawet cudzoziemców, przedstawimy teraz niektóre opisy ważniejszych wypadków wyleczenia, wymowniej świadczących o własnościach leczebnych tego zdrojowiska.

Chłopczyk 6 lat wieku mający, z gubernji Mińskiej, przybył w r. 1867 powiada w Sprawozdaniu



Doktor Dymnicki do źródła naszego z próchnieniem kości nosowych. Choroba trwała od dwóch lat. Próchnienie kości doszło już do znacznego stopnia, albowiem grzbiet nosa przedstawiał wklęsłość 5 linii wynoszącą. Kości nosowe w dotknięciu jakby rozpułchnione, przybrały położenie więcej poziome, w skutek czego bezkształtność nosa spłaszczonego, tem więcej uderzała. Błona śluzowa nosa nabrzmiała, w kilku miejscach owzrodziła, sączyła płyn brudny, cuchnący. Pacjent przedstawiał widoczne cechy żółzowe, o czym nietylko obrzmiałe gruczoły limfatyczne podszczękowe, ale i cały niedokrwiły ustrój świadczył.

Leczenie u źródła buskiego prowadzono za pomocą miernych dawek wody buskiej, wstrzykiwań robionych od otworów nosowych z wody buskiej letniej i kąpieli mineralnych.

Polepszenie wkrótce się wstawiło bo już w trzecim tygodniu takiego leczenia odpływ z nosa znikł, a badanie okazało, że błona śluzowa do prawidłowości powróciła. W szóstym tygodniu leczenia można było chorobę za skończoną już uważać, bo nie tylko, że w otworach nosowych nie już chorobliwego wysledzić nie mogłem, ale nawet kości nosowe wyraźnie w dotknięciu stwardniały. Wklęsłość nawet grzbietu zmniejszyła się nieco.

Dalekim będąc od tego, aby przypadek ten za zupełnie uleczone podawać, gdyż to w następstwie dopiero orzechy można, przytoczyłem go jednak tutaj, aby okazać jakie zmiany źródła buski w stosunkowo krótkim czasie w ciężkim zbroceniu wywołać może.

Od pierwszej oznaki choroby pielęgnowano małego pacjenta w domu z wielką troskliwością: stosowano wszelkie możliwe środki, a jednak choroba postępując ciągle dalej, ani na chwilę się nie zatrzymywała.

Niemniej uwagi godnym będzie przypadek następujący:

Chłopczyk 13 lat mający, z gubernji Grodzieńskiej, przybył pierwszy raz do źródła buskiego w r. 1866, dotknięty zapaleniem stawu kolanowego prawego.

Chorobę znalazłem natenczas w okresie wysiękowym; trwała dopiero od pół roku. Staw kolanowy cierpiący był o 2 cale od zdrowego grubszy, w dotknięciu nadzwyczaj bolesny. Skóra na nim ciemno-czerwono zabarwiona.

W roku tym doznał chory znacznego polepszenia: zabarwienie skóry staw kolanowy otaczającej, zamieniło się na bladą-różową, obrzmienie znikło, nadczułość prawie żadna. Chory nie tylko że sam różne żądane tą kończyną wykonywał ruchy, ale także pozwalał się śmiało stawu kolanowego dotknąć, a nawet z dawnego zgięcia nie tylko do kąta prostego, ale i do prostości kończynę doprowadzić.

Stan ten polepszony otrzymaliśmy w skutek sześciotygodniowego leczenia za pomocą picia wody buskiej, okładów mułowych z szczególną troskliwością robionych i kąpieli.

W roku 1867 przybył tenże chory powtórnie. Badanie uznało staw kolanowy prawie za zupełnie prawidłowy. Chory nie tylko że chodził, ale i skakał wybornie, nosząc jednak na tej kończynę ciągle opaskę, którą mu w roku poprzednim zaleciłem. Jakiś przypadek nie raz zwoływać się w stanie świadczy przypadek następujący:

Obywatel, z gubernji Radomskiej, 26 lat mający, przybył w roku 1867 do wód buskich z ropieniem usznym i nadzwyczajnym bólem głowy, trapiącym go bez przestanku.

Bliższe badanie wykazało, że tenże chory podleżał żółzom silnie rozwiniętym.

Odwiedzał on już źródła buski w r. 1860 i 1861. Natenczas objawiały się żółzy przez znaczne obrzmienie gruczołów podszczękowych, szyjnych, a osobliwie przez obrzmienie gruczołu tarczowego, które to ostatnie zbrocenie przez ucisk na głosię, nawet nie prawidłowo wysoki głos spowodowało.

Przypadki wymienione znikły zupełnie, w skutek leczenia się u źródła buskiego w roku 1861; — o czym mię nawet później pacjent listownie powiadomił.

W roku 1866 przybył on po trzeci raz do Buska. Z dawnych obrzmień gruczołów ani śladu już nie było, ale za to wystąpiły inne objawy, które mu nierównie więcej może dokuczały. Skarżył on się natenczas na ciągły ból głowy, tudzież dziwną drażliwość nerwową. Najmniej znacząca przyczyna wy-

wołała drżenie kończyn, śmiech i płacz kurczowy na przemian, tudzież silne i przyspieszone bicie serca. Pomimo dobrego apetytu i odżywiania się prawidłowego, był on jednak w wysokim stopniu niedokrwiłym.

Gdybym pacjenta tego dawniej był nie widział, trudnoby mi z pewnością przyszło wpaść na trop głównej przyczyny, to zbrocenie wywołujące. Ale znając go już dawniej, musiałem żoły za główną przyczynę powodową przyjąć. W tym celu przeprowadzone źródłem buskim leczenie, odniosło znowu najświetniejsze skutki. Czterdziesto-dniowe leczenie usunęło ból głowy, drażliwość nerwową i niedokrwiłość w zupełności.

W roku 1867 przybył tenże pacjent po czwarty raz do Buska, jak już wyżej wspominałem z ropieniem usznym i bólem głowy.

A więc źródła buski nie zniszczył był jeszcze u niego zupełnie zakażenia żółzowego, skoro znowu ból głowy się powtórzył, a ropienie uszne wielkie rozmiary przybrało.

Będąc na mocy poprzednich danych rozpoznania pewnym, zastosowałem leczenie zdrojowe przeciw żółzowe, w skutek czego po sześciu tygodniach pacjent znowu zupełnie zdrow pod każdym względem i wesół, zakład buski opuścił.

Protokół leczenia się obejmują dwa przypadki próchnienia kości żółzowego. Przypadek pierwszy dotyczy chłopczyka 8-letniego starozakonnego, z gubernji Radomskiej.

Był on w roku zeszłym już po drugi raz u źródła naszego. Próchnienie zajęło u niego dwa pierwsze kręgi lędźwiowe, w skutek czego w okolicy pachwinowej prawej ropień napływowy powstał. Choroba trwała od kilku lat i doprowadziła cierpiącego do ostatniego stopnia wyniszczenia.

W r. 1866 opuścił on zakład buski ze znacznym polepszeniem; w roku zaś 1867 doczekał się zupełnego uleczenia — co wnosić było można: z zaprzestania wydobywania się płynu brudnego, z zabliznienia się ropnia w pachwinie, ze zmniejszenia się obrzmienia w okolicy kręgów cierpiących, z umiknienia bólów tamże, tudzież z rozpoczętego prawidłowego odżywiania się.

Przypadek drugi dotyczy młodzieńca 19-letniego, z gubernji Kaliskiej. I ten pacjent po drugi już raz odwiedził zakład buski.

Tutaj niszczyło próchnienie kość łokciową prawą, sięgając aż do samego stawu. Próchnienie to przybrało zastraszające rozmiary.

Różne sposoby leczenia, prowadzone ściśle i umięjętnie nie odniosły pożądanego skutku. Jedyna nadzieja odzyskania zdrowia pozostała w utracie kończyny za pomocą amputacji, na którą kilku z Warszawskich lekarzy się zgadzało.

Źródła buski spowodował znaczne polepszenie w r. 1866, a w następnym odniósł świetne zwycięstwo, powracając zrozpaczonemu młodzieńcowi tak ważny członek, w stanie do wszelkich zatrudnień zdolnym. Na pamiętkę przebytej choroby pozostała tylko lekka sztywność stawu łokciowego.

Uczeń gimnazjalny 18-letni, z gubernji Radomskiej, przybył w roku 1866 po pierwszy raz do wód buskich z obrzmieniem gruczołów podszczękowych lewych.

Podobna choroba sama przez się nie bywa wielkiej doniosłości, ale wspominać o niej tylko dla tego, że obrzmienia dochodziły do wielkości gęsiego jaja. Choroba trwała od dwóch lat. Leczenie w domu prowadzone nie wywarło na nią najmniejszego wpływu.

Źródła buski przy pomocy mułu mineralnego pokonał to zbrocenie w 30-tu dniach. Tak szybki skutek w podobnie ciężkim zbroceniu zasługuje na wzmiankę.

Wojskowy wyższej rangi z Warszawy, przybył do źródła buskiego i w r. 1867 po pierwszy raz z wypryskiem czerwonym i wrzodami skórnymi goleni prawej. Choroba trwała 10 lat.

Staranne leczenie w domu spowodowały zaledwie chwilowe polepszenia, które wkrótce po wprowadzeniu tej kończyny w ruch, w pogorszenia się zamieniały. Przy badaniu znalazłem całą goleń z naskórka ogołoconą i płyn żółtawy, lepki sączący. Na powierzchni jej przodkowej i zewnętrznej ośm wrzodów płaskich, wielkości kopiejki, z dnem zanieczyszczonym. Wrzody te były pochodzenia traumatycznego, powstały one bowiem z niecierpliwego odrywania przyschniętej opaski. Chory skarżył się

na niezdolne palenie w całej goleni, które przy ruchu do najwyższego dochodziło stopnia.

Leczenie u źródła naszego w r. 1866 usunęło chorobę w zupełności, w przeciągu 35 dni. Do pomyślnego skutku przyczyniły się najwięcej okłady zimne, robione z wody buskiej.

W roku następnym przybył chory powtórnie. Powiadomił on mię, że przez cały rok służyła mu dawniej chora kończyna jak najwyborniej i tylko z obawy o powrót choroby zamierzył leczenie powtórzyć.

Rzeczywiście znalazłem goleń dawniej cierpiącą w najlepszym stanie, ani z wyprysku, ani też z wrzodów nie pozostało żadnego śladu.

Podobnie pozbył się w roku zeszłym u źródła buskiego pewien obywatel, z gubernji Lubelskiej, wyprysku, który się u niego od kilku lat już na całym ciele był usadowił. Choroba ta dokuczała mu w wysokim stopniu, sprowadzając zbyt często nawet bezsenność. Leczenie w domu nie wywarło na nią prawie żadnego wpływu.

Źródła buski pokonał ją całkowicie w przeciągu czterech tygodni.

Wspomnę tutaj jeszcze o jednym przypadku łuszczy, który u wód buskich zupełnego uleczenia doznał.

Pewien kupiec starozakonny 50-letni, z gubernji Kaliskiej, przybył w r. 1866 do źródła naszego. Znalazłem u niego łuszczy rozlany, który powierzchownie zewnętrzne takkończyny górnych jak i dolnych zajął, sadowiąc się przy tem najobficiej na łokciach i kolanach.

Późne sposoby leczenia, starannie w domu prowadzone, sprowadzały tylko chwilowe polepszenia.

Źródła buski pokonał chorobę tę w r. 1867 najzupełniej. Wątpiąc, czy uleczenie to mogłoby za stałe być uważane, gdyż powroty w łuszczy są na porządku dziennym, zaliczyłem ten przypadek tylko do polepszeń.

W roku 1868 przybył tenże pacjent powtórnie i przekonał mię, że uleczenie stałe było, gdyż z choroby nie znalazłem ani śladu. Skóra przybrała także w miejscach dawniej przez łuszczy zajętych własności prawidłowe.

Obywatel 45-letni, z gubernji Suwałskiej, przybył po pierwszy raz do Buska w roku 1867 z dną długotrwałą.

Cierpienie to napastowało go już od kilkunastu lat. W początkach, gdy napady dny lżejsze były i nie tak często się pojawiały, nie wiele on sobie z choroby robił, ale później, gdy te napady kilka razy do roku na ośm tygodni do łóża boleści go przykuwały, a co gorsza, gdy po minionych napadach bólów, obrzmienie stawów, ruchy ograniczające nie schodziły, szukał on skrzętnie u wielu lekarzy pomocy, którzy jednak pomimo najodpowiedniejszych sposobów leczenia nie wiele ulgi sprowadzić mu podolali. Szczególniej znalazłem u niego zajęte złożami stawy napiętkowe i palców wielkich w obu kończynach dolnych, tudzież stawy stopowe. Ból w miejscach chorobą dotkniętych i sztywność stawów nie dozwalały ruchów śmielszych; użycie więc kończyn musiało być bardzo niedostateczne.

Przy pomocy wody buskiej i kąpieli mułowych odzyskał chory ten jeszcze w r. 1867 zupełne zdrowie. Wszystkie złoży znikły w przeciągu 35 dni, wskutek czego i używalność kończyn żadnej przeszkody nie doznała. W roku 1868 przybył on powtórnie. Stan jego zdrowia nie do życzenia nie pozostawiał. Z dawnych cierpień nie znalazłem ani śladu.

W dziale chorób 3-cim, umieściłem w wykazie pojedynczych zbroceń jeden przypadek zupełnej utraty pamięci, w skutek wysięków w błonach mózgowych.

Przypadek ten dotyczy się 50-letniej obywatelki, z gubernji Petrokowskiej. Pacjentka używała dawniej prawie zawsze dobrego zdrowia. W r. 1867 w końcu miesiąca Grudnia zachorowała na gościec gorączkowy, który się bólami w stawach a przeważnie w głowie objawił. Stan gorączkowy, który chorą bardzo wyniszczył, miał trwać kilka miesięcy. Po upływie tego czasu, stan chorą zaczął się poprawiać, co jednak nie doprowadziło chorą do tego, aby się o własnych siłach na nogach utrzymać mogła, a co ważniejsza jeszcze: chorą utraciła zupełnie pamięć.

W tym stanie przybyła w roku zeszłym 6-go Sierpnia do Buska.

Znalazłem pacjentkę wychudzoną, piętno zgrzybiałości noszącą, zupełnie bezsilną, prawie mdleją-



ca, bez apetytu. Aby na nogach utrzymać się mogła, potrzeba jej było pomocy dwóch osób. Zmian anatomicznych nie wysledziłem nigdzie. Bóle nagabujące dawniej stawy, a osobliwie głowę, umilkły rzeczywiście od kilku miesięcy. Skarżyła się tylko na ból klujący w prawej połowie klatki piersiowej, który jej dosyć często miał dokuczać, gdzie jednak żadnych danych nie wysledziłem. Pamięć zupełnie utraczona. Rozmawiając z nią o rzeczach potocznych, wywięzywała się dosyć dobrze z swego zadania, ale rzeczy pamięci były dla niej zupełnie obce. O ile zauważyłem, zdawało mi się, że utratą pamięci obejmowała okres 10-ciu lub 12-tu lat, dawniejsze wydarzenia łatwiej sobie przypominała. Pamiętała np. że ma syna, który według jej podania obecnie w szkołach być miał, co przecież nie było prawdą, jak towarzyszą chorą mówiła: syn pacjentki bowiem skończył przed 10-ciu laty szkoły i jest obecnie urzędnikiem w Wydziale Finansów. O swój chorobie nie wiele także powiedzieli umiała. Aby dać wyobrażenie o stopniu utraty pamięci, dosyć przytoczyć, że w żaden sposób sobie przypomnieć nie mogła, co przed chwilą jadła. O nazwie dni i miesięcy ani mowy być nie mogło; pacierz jednak odmawiała dokładnie.

Mając szczegóły przebytej przez nią choroby przez koleżę udzielone, nie mogliśmy objawu utraty pamięci sobie inaczej wytłomaczyć, jak tylko przez wysięk gościcowy w błonach mózgowych.

Gościec nagabuje wszystkie utwory włókniste, nie więc dziwnego, jeżeli i błony mózgowie zajmie. Podobne zбочenia nie są wprawdzie częste, ale się wydarzały już, o czem i Niemeyer wspomina.

Leczenie zdrojowe odbywało się tylko za pomocą kąpeli. Do wewnątrz miała sobie z domu jeszcze zalecone wody Kissingen, które jej pozostawiłem. W czasie tego leczenia dziwnie szybko do sił przychodziła. Już w 2-im tygodniu poczęła bez pomocy chodzić. W 4-tym tygodniu odbywała wiorstowe przechadzki bez zmęczenia się. Apetyt ustalił się wyborowy, w skutek którego siły i tusza coraz więcej przybywały; pamięć jednak zawsze była trudną. Przy końcu leczenia, które 35 dni trwało, poprawiła się pamięć zaledwie o tyle, iż dzień obecny nazwać mogła.

Z chorób nerwów zasługuje na uwagę szczególnie jeden przypadek znacznego polepszenia z porażenia kończyn dolnych.

Przypadek ten dotyczy obywatela 65-letniego z gubernji Warszawskiej. Przybył on w r. 1867 po pierwszy raz do Buska. Natenczas nie był on w stanie najmniejszego ruchu porażeniami kończynami wykonać. Aby na chwilę stanąć, potrzebował pomocy dwóch osób. Przy posadzeniu go na stołku, odbywały kończyny ruchy mimowolne, kurezowe, które wola chorego w żaden sposób poskromić nie mogła. Chory doznawał także tępego, cisnącego bólu w kręgach lędźwiowych. Chory silnie zbudowany, mający dosyć dobry apetyt, a więcej niż mierną tuszę, zachorował w r. 1865 z niewiadomej przyczyny. Choroba rozpoczęła się częściową utratą władzy, którą wreszcie po kilku miesiącach zupełnie postradał. Czucie przytępione utrzymywało się w kończynach porażonych.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mamy tutaj do czynienia z porażeniem kończyn dolnych, z przyczyny zapalenia chronicznego rdzenia pnieczowego. Wszystkie objawy tutaj przytoczone, wyraźnie za tem przemawiać się zdają. Chory przeszedł liczne sposoby leczenia, a nawet rozpalone żelazo nie było mu obce; wszystko to jednak pozostało bez najmniejszego skutku.

Okłady i kąpiele mułowe obok wody buskiej w miernych dawkach sprowadziły w r. 1867 polepszenie, które się zasażalo na tem, iż chory mógł się już o własnej sile z łózka podnieść, niemniej na chwilę o własnej sile na nogach stanąć, a nawet przy pomocy jednej tylko osoby przejść się po pokoju. W roku zeszłym przybył chory powtórnie. W czasie powtórnego leczenia się, widzieliśmy go już z mieszkaniem do łazienek przy pomocy jednej tylko osoby chodzącego, ból w kręgach lędźwiowych ucichł zupełnie, a chory był już w stanie nad ruchami mimowolnymi kończyn dolnych zapanować.

Polepszenie to wielce sobie cenimy z powodu ciężkiego i prawie (jak dotąd) nieuleczalnego zбочenia,

a nawet ośmielamy się mieć nadzieję, że chory ten do zupełnego mógłby powrócić zdrowia.

Ze nadzieja ta nie jest utopią i może mieć podstawę, dowiedzie nam tego przypadek następujący:

Koledzy, którym sprawozdania moje nie są zupełnie obojętne, raczyli może zwrócić uwagę na podobny przypadek, umieszczony w sprawozdaniu z r. 1867. Podałem tam, że obywatel 46 lat mający, z gubernji Lubelskiej, dotknięty porażeniem kończyn dolnych od 18 miesięcy, w którym różnorodne leczenia najmniejszej ulgi nie przyniosły, doznał po jednorazowym leczeniu się u zdroju buskiego znacznego polepszenia.

Porażenie kończyn dolnych było w najwyższym stopniu. Chory nie był w stanie najmniejszego ruchu kończynami porażeniami wykonać, a wszystkie przypadki, jak: ból tępy w okolicy krzyżowej, rozdzienie żywota, uczucie jakby żelaznej obręczy na około ciała przepasaną, powolny rozwój choroby przy częstem mrowieniu w kończynach, utrzymywanie się dłuższy czas czucia, tudzież możność wywołania odruchów, które się przez silne kurecze w mięśniach aż do podrywów kończyn objawiły, zniewoliły mię do uznania tego porażenia za centralne.

Pocieszony polepszeniem opuścił chory zakład nasz natenczas po 6-tygodniowym leczeniu się z przyrzeczeniem przybycia w roku następnym. Oczekiwałem więc pacjenta z niecierpliwością, lecz pora kąpielowa upłynęła, a p. K. Z. nie przybył. Byłem więc zdania, że dalsze następstwa nie musiały być bardzo świetne skoro pacjent ochotę do powtórnego leczenia się stracił. List w miesiącu Październiku roku zeszłego od niego otrzymany, wyjaśnił mi cały stan rzeczy, oto słowa listu: „Doktorze! Nie zadziwiłście się zapewne, że w tym roku nie przyjechałem do Buska, bo zostaliście w przekonaniu, że wasz pacjent albo przeniósł się ad patres, albo znudzony kuracją, siedzi w wózku bezwładny, jak przed tem. Otóż rzecz ma się przeciwnie, dla tego właśnie nie przyjechał, że zdrow zupełnie. Cały dzień jestem przy gospodarstwie, jem, jeżeli nie za dwóch, to za trzech. Przypiszesz może moje zdrowie regularnemu życiu? Myliłbyś się: gram sobie wista najczęściej do dwunastej godziny w nocy. A więc przypiszesz może zdrowej strawie? rzeczywiście! gust mój znasz do dobrego i zdrowego jadła, jak np. do kapusty i kiełbasy! „(tutaj następuje wiele wesołych i dowcipnych omówień, które opuszczam). Dalsze słowa listu: „Jednym słowem, tak jestem zupełnie zdrow, jak nie pamiętam nawet za młodu. Jeżeli pragnę być w Busku to tylko dla tego, abym ci Szanowny Doktorze za twą szczególną troskliwość serdecznie podziękował.

„P.S. Szlamem buskim traktuję tu wiele słabych na rozmaite stłuczenia, wysypki, paraliże i zapewne wam go niedługo zabraknie, bo powodzenie jest dobre.“

Oto dowód skuteczności zdroju buskiego! List tutaj podany, może się obejść bez wszelkich komentarzy.

Pomijamy inne wypadki jeszcze więcej znaczące znaleźć je można szczegółowo opisane w Sprawozdaniu za rok zeszły skutecznym, do którego ciekawych odsyłamy.

## O UBIORACH.

### Korespondencja z Paryża.

W tej porze jesiennego przesilenia spostrzegamy niektóre zmiany w dziedzinie mody, uważamy też za obowiązek wskazać je czytelnikom naszym.

Nowe jesienne okrywki mają formę surducików krzyżowanych na piersiach, i zakładanych na bok. Robią je z sukienka lub aksamitu. Niektóre z nich przybrane wyłogami.

Do najmłodniejszych kolorów należy śliwkowy, i fioletkowy, wpadający w amarant. Noszą także kolor ciemno złoty barwy, podobny do piór bażanta z tąd nazwany: *faisan doré*.

Ogromne puffy które stanowiły konieczne dopełnienie tak sukien jak i kostiumów poczynają się zmniejszać. Oprócz falban tak powszechnie przyjętych w ciągu lata do ozdoby sukien używany także będzie aksamit czarny lub w zastosowanym kolorze i frendzla jedwabna lub sznelowa. Do sukni ubranej aksamitem, szarfa ma być zarówno aksamitna.

W rękawach nastąpiła też zmiana — wazkie jak dawniej u góry, rozszerzają się znacznie od strony ręki, co sprowadza potrzebę bufowanych rękawków na spód.

W ubraniu głowy niemniej spostrzegamy niejaki odmiany. Włosy wiążą wysoko od związania spadają dwa grube warkocze aż do szyi, i podnoszą się w górę, tworząc jeden feston na wierzchu głowy, przytwierdza go ósemka ułożona płasko z reszty warkoczy. Na to wpina się kokarda aksamitna, zwykle czarna.

Na strojne suknie najmłodniejszy Crépe de chine w kolorach: białym, różowym, niebieskim (bleu Indien) jasno zielonym, perłowym i purpurowo fioletkowym. Suknie te a raczej tuniki, kładą się zwykle na spódnicy jedwabnej w odpowiednim kolorze. Tunika Crépe de Chine ogarniowana zwykle frendzlą.

Na suknie do częstszego ubrania widzimy też wyrób z wełny i jedwabiu, naśladowujący crépe de chine. Takie kostiumy przybierają plisami z aksamitu.

Do teatru i na małe wieczorki młode osoby tak panny jak mężatki, noszą suknie białe muszlinowe przystrojone falbankami i aksamitką czarną. Aksamitka naszywa się nie tylko u falbanek, ale daje się trzema rzędami, pomiędzy jedną falbanką a drugą; szarfa do tego powinna być aksamitna czarna, kołce u niej zazwyczaj bardzo krótkie. Kokarda aksamitna stanowi również ubranie głowy. Niektóre suknie białe muszlinowe ubierają też aksamitką w kolorze skabiozowym i fioletkowym, ale czarna ma pierwszeństwo nad innymi.

W kapeluszach moda jeszcze nie ustalona — powiemy o nich później. Dla młodych osób wielką nowość stanowią kapelusiki czarne kastorowe, z główką wysoką i śpiczastą, przybrane kruczem piórem, przepasane aksamitką.

Do pokoju przyjęte śliczne kaftaniki czarne aksamitne bez rękawów, podcięte z przodu czworokrotnie, zapięte na szmuklerskie guziki. Kaftanik taki przechodzi poniżej stanu, tworząc nie wielką baskinę, z tyłu przeciągniętą w ząb. Do przybrania go służy wazka pasmanterja, a najczęściej prosty atlasowy rulonik.

Krynoliny terazniejsze do maleńkich spadły rozmiarów. Trzy lub cztery rzędy stulek dają się u dołu i to tylko w tyle spódniczki. Pod to kładzie się turniura z włosienia, która odsadza mocno spódnicę.

Po tych ogólnych uwagach, opiszemy ładny kostium jesienny, który nam się widzieć zdarzyło. Był on z tybetu i materji w kolorze tabaczkowym. Spódniczka do ziemi jedwabna, miała kilka falbanek wyciętych w zęby i objętych rulonem tybetowym. Na to szła baskina czyli tunika tybetowa ogarniowana frendzlą, przepasana szarfą jedwabną.

Ładne ubranie wieczorowe, przeznaczone dla młodej mężatki, składało się ze spódnicy czarnej jedwabnej z szerokim wolantem i z sukni białej muszlinowej w czarne muszki. Suknia ta podpięta była w festony na kokardy czarne aksamitne. Baskina i stanik ogarniowane koroneczką czarną, ślicznie odpowiadały całości. Bukiecik z róż upięty w kokardę aksamitną, miał stanowić ubranie głowy.

Okrywki do powozu najmłodniejsze tybetowe w kolorach świętych: niebieskim, zielonym, pasowym, mają kształt płaszczka z szerokimi bardzo rękawami. Zdobia je frendzla i pasmanterja. Takież okrywki służą do wejścia na teatr lub wieczór.

S. D.

### Korespondencja.

Pani Zofji Bo: w Czarnym Ostrowiu. Metoda francuzka kosztuje rs 2 kop 40. Człowiek i ziemia rs. 1 kop. 30. Podarek dla dzieci rs. 1 ko p. 20.

Pani Halinie Ma: w Trębaczewie. Spilki do karbowania włosów kosztują po 2½ kopiejki. Paczka drucików z obsyciem skórzanem do zawijania włosów na loczki kop. 60. O doniesieniu jakiego się kupić mają prosimy. Do dobrania sznuru zielonego z czarnym próbką wyrobu konieczne jest potrzebna, inaczej niewiemy czy ma być seledynowego czy trawistego koloru.

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.



TREŚĆ.

N. 1. Szkocki kostium dla chłopca do lat 8miu. — N. 2. Ubranie małego chłopczyka. — N. 3 i 4. Ubranie dziewczynki od 8 do 10 lat. — N. 5. Ubranie dziewczynki od 7 do 10 lat. — N. 6 — 7. Narożniki z siatkowej gipiury. N. 8. Bretelkowa pelerynka. — N. 9 — 10. Stanik z ubraniem „Rokoko.“ — N. 11. Gorsecik i baskina z koronkowej mantylki. — N. 12 — 13. Pelerynki dla młodych pańienek. — N. 14. Kostium wizytowy. N. 15. Suknia muślinowa w muszki. — N. 16. Spacerowe ubranie. — N. 17. Wizytowe ubranie. — N. 18. Kastorowy kapelusz ubrany wieńcem z piór. — N. 19. Kapelusz diademowy. — N. 20. Kapelusz ubrany koronką. — N. 21. Suknia wieczorowa „à la Stuart“ — N. 22. Suknia wizytowa z tuniką. — N. 23. Domowe ubranie dla starszych pań. — N. 24. Strojna suknia wizytowa. — N. 25. Kostium spacerowy z tuniką.

N. 1 — 5. Ubrania dla dzieci.

Z magazynu pani Desrez w Paryżu, plac Halevy 2.

N. 1. Szkocki kostium dla chłopca do lat 8. W grube fałdy ułożona sukienka i podługowata kamizelka, zrobione są na modelu z piaskowego kaszmiru, z perłowymi guzikami. Roztwarty kaftanik z fijołkowego aksamitu, ma jako garnirunek, objęcie z lila atlasu, perłowymi guzikami naszyte; bericik odpowiedni kaftanikowi zdobi piórko perłową agrafką przepięte. Po nad skórkowymi bucikami, wystają kraciaste szkoockie pończoszki.

N. 2. Ubranie małego chłopczyka. Majtki i bluzka prosto albo ukośnie zapinana z jednolitego albo mieszanego materiału, wyszyte są sutaszem, podług wskazówek ryciny.

N. 3. Ubranie dla dziewczynki od 8 — 10 lat. Gładką spódniczkę z sultanu w kolorze „écru“ ubierają trzy brązowe atlasowe pliski. Podobną pliską objęta jest wierzchnia spódniczka i szarfa z pojedynczych ułożona cząstek, podpinająca tunikę w tyle. Staniczek z krótkimi rękawkami na długich muślinowych, daje się zupełnie pod szyję; marynarski kołnierz z muślinu i koronki, robi efekt kwadratowego wycięcia stanika.

N. 4. Ubranie dziewczynki od 8 — 10 lat. Na różowej batystowej, biała sukienka muślinowa w muszki. U dołu 16 cent. szeroka falbana, przybrana w miejsce nagłówka, bufką podwleczoną wstążką, oszytą koronką, lub falbanką muślinową. Taką bufkę widzimy jeszcze przy staniku i krótkich jego rękawkach.

N. 5. Ubranie dziewczynki od 7 — 10 lat. Garnirunek z tyłu podpiętej podwójnej spódniczki z popielatego fil de chèvre, formuje rodzaj kontrafałdowanej wody prawie wypukłej, zakończonej z dwóch stron burekiem czyli oszewką pstrokata, zwaną po szmuklersku: „effilée Tom pouce.“ Dół spódnicy, zdobi szeroka, ukośna falbana, zakończona wodą; staniczek wycięty, dopełnia muślinowa szmizetka w zakładki; toczek aksamitny. Buciki powinny być kolorusukni.



N. 1. Szkocki kostium dla chłopca do lat 8.

N. 2. Ubranie małego chłopczyka.

N. 3 i 4. Ubranie dziewczynki od 8—10 lat.

N. 5. Ubranie dziewczynki od 7 do 10 lat.

N. 8. Bretelkowa pelerynka.

Z magazynu pani Kieffer w Paryżu, „na bulwarze Włoskim N. 27.“

Podobną chusteczkę, z patkami z tyłu i przodu, lub też zaokrągloną niby berta z tyłu, zupełnie bez końca sięgającą do paska, łatwo także przerobić z ryciny stosując formę do warunków figury. Modelik nasz wymaga w bufki namarszczonego muślinowego paska, przegradzanego muślinem podwleczoną kolorową atlasową wstążką. Daną w koło, koronkową wszywkę, dopełniają wązkie, atlasowe ruloniki, i nadmarszczona koronka. Podobnie przyrządzony pasek, zakończy rozeta ze wstążki. Całość ta urozmaicać się może przez niektóre zmiany, dając n. p. przejrzyste wszywki, w miejsce muślinowych pasków, ozdobione na końcach atłaskowym kwiatkiem, spadającym w połowie na koronkową wszywkę daną w około; albo też zamiast tego, dając zwyczajne przepięcia z wstążki śpiczasto zakończone guzikiem albo atłaskowym kwiatkiem.

N. 9 — 10. Stanik z ubraniem „Rokoko.“

Z magazynu pani Billand w Paryżu, przy Ulicy Śgo Rocha N. 32.

Podobne strojne i łatwe przybranie sukni, daje się w szczególności do ciężkich jedwabnych sukien, które na wielkie zebrania, ozdabiają się jeszcze koronkowymi falbanami u dołu. Podpięta z boków tunika na którą w tyle koronkowa szerfa spada, formuje z przodu rodzaj zęba, uwydatniając lepiej garnirunek. Głęboko wycięte staniki noszą się albo z muślinową szmizetką o długich rękawach, albo z niewielką modestką, zostawiając obnażoną szyję i ręce na kolje i bransoletki. Garnirunek otaczający wycięcie stanika, formując z tyłu bretelki i szarfę, składa się z szerokiej koronki i ruszy w ząbki wycinanej zamiast nagłówka. Z przodu

N. 11. Gorsecik i baskina z koronkowej mantylki.

Pod numerem 11. przedstawiamy modną tego-roczną baskinę ułożoną z mantyli koronkowej. Widzimy że w tyle wypada ułożyć całe prawie tło chustki, dając w prostym górnym jej brzegu głęboką fałdę, przyczepioną do paska stanika; końce jej, formują z przodu rodzaj patek połączonych kokardami atlasowymi czarnymi. Większa cokolwiek kokarda stanowi szarfę. Szeroką koronkową falbanę, jaką u wielu mantyl widzimy, można dać u dołu spódnicy. Wycięcie stanika oszyte 7 — 8 cent. szeroką koronką, odpowiedniego deseni, i ruszą z materji albo wstążki. To samo powtarza się przy rękawkach. Jako dopełnienie daje się muślinowa czy tiulowa bluzka w zakładeczki.

N. 12 — 13. Pelerynka dla młodych pańienek.

Pelerynki takie z czarnego tiulu lub muślinu, noszą się tak na wyciętym staniku, jak na zupełnie pod szyję, na wieczorne zebrania a nawet do spacerowego kostiumu. Na białej muślinowej pelerynie N. 13, przyrządzonej do zapinania z przodu na guziki, dane są na przemian 2 cent. szerokie proste paski białego muślinu i 1 cent. szeroka koronkowa wszywka; paski opatrują się 1 cent. szerokim obrębkiem, wywróconym na zewnątrz, ozdobionym koronką odpowiedniej szerokości, która gładki muślin całkowicie pokrywa. Brzeg dolny przodów opatrzony 1 cent. szerokim obrębkiem, wynosi 42 cent. długości, górny, prosty brzeg wykroju szyi 14 cent. długość przodów liczy 32½ cent. szerokość zaokrąglonego ramienia 22. Brzeg prosty przodów, wymaga w obydwóch częściach 1½ cent. szerokiego obrębu, który na stronie zakładanej na wierzch, oszywa się w koło nadmarszczoną koronką. Każda połowa pleców stanowi prosty kawał 25 cent. szeroki, a 78 cent. długi, który sfałdowany podług ryc. 12ej ubiera się kokardami. Zaokrągliwszy odpowiednio ramiona, przyczem końce pleców z obu stron ukośno ściąć trzeba, całość opatruje się 1 cent. szerokim obrębkiem a po zeszytciu ramienia oszywa w koło koronką, która także zdobi ramię. Pasek 8 cent. długi a 2 szeroki z kolorowej atlasowej wstążki, dopełniony kokardą, z długimi końcami, spaja obie połowy pleców; podobna kokarda daje się na muślinowych puklach w plecach; obręb przodów, ubierają ukośnie dane kokardy.

N. 14. Kostium wizytowy.

Całe to ubranie przyrządzone jest z modnego pasowanego materiału, można go dać także w rozmaitych materiałach i kolorach, przy czem zwracamy uwagę, że spódnica w żywym jednolitym kolorze, a tunika biała w kolorowe paski, równie są z upodobaniem noszone. W miejsce ruszy kontrafałdowanej w równych odstępach, przez co na małe rozetki wygląda, dają się także falbanki, lub karbowane listewki.

N. 15. Suknia muślinowa w muszki.

Suknia ta z muślinu białego w muszki wycięta u dołu w zęby, gipiurą oszyte dopełniona jest 30 cent. wysoką, dwoma karbowanymi falbankami ozdobioną listwą z gładkiego muślinu. Bluzka

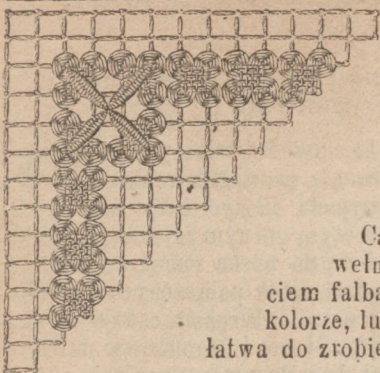
N. 6 i 7. Dwa narożniki z siatkowej gipiury.

Szlaki te użyte być mogą jako wązka wszywka do kołnierzyków, mankietów, lub też jako szlak otaczający pojedynczy kwadrat czy całą serwetę. Robota łatwa do naśladowania z ryciny.

i z tyłu dają się kokardy ze spadających na siebie pukli z ukośno ciętej materji albo wstążki odpowiedniej szerokości. Ten rodzaj garnirunku może zastąpić miejsce ruszy.

ka ukośnie wycięta i zapinana, ma podobne, mniejsze nieco zęby, spadające na muślinową karbowaną falbaneczkę. Do większego stroju używa się pod muślinową suknię lilla batystowa i atlasowa szarfa z podobnym paskiem.





### N. 16. Spacerowe ubranie.

Z magazynu p. Delacroix w Paryżu na placu Bankowym N. 4.

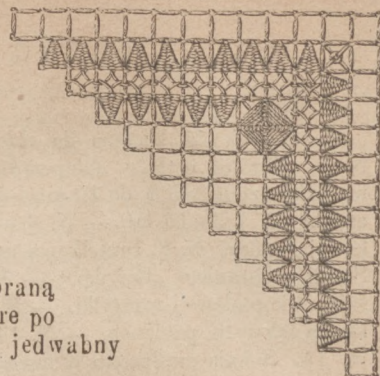
Cała z jednolitego materiału wełnianego z nagłówkiem i objęciem falbanek atlasowym w tym samym kolorze, lub odmiennym cieniu, suknia ta łatwa do zrobienia, bardzo okazuje się prak-



### N. 17. Wizytowe ubranie.

Z magazynu p. Billand w Paryżu przy ulicy Śgo Rocha N. 32.

Model nasz przedstawia suknię z popielatej „grenadine de laine“ ze stanikiem bluzkowym pod szyję, ubraną kontrafaldowanymi falbankami, które po każdym trzech fałdach, przepina jedwabny



N. 6. Narożnik z siatkowej gipiury.

tyczną. Model nasz z fularu „écru“, ma na krótkiej spódnicy, cztery wąskie załamywane falbanki, których na główek formuje szeroka pliska, przepinana guzikami. Podobnie przybrany paltot lub stanik do-



N. 8. Bretelkowa pelerynka.



N. 7. Narożnik z siatkowej gipiury.

kwiatek. Na tak przybraną spódnicę, spada tunika z wyciętym stanikiem z czarnej miękkiej „crêpe de Chine“ jakiej wykwintne paryżanki na tuniki, a nawet całe kostiumy używają. Na staniku, idą atlasowe bretelki, zakończone paskiem stanika; także rusze stanowią epolecik i ubranie rękawa. Stanik zapina się z przodu, na atlasowe guziki.



N. 9. Stanik z ubraniem „Rokoko“ (plecy).

pełniony paskiem z karokiem, zapina się z przodu podłużnie. Proste poły baskiny odwrócone w tyle, mają u góry kokardę i w rodzaju drapetji dochodzą paska na przodzie.



N. 11. Gorszecik i baskina z koronkowej mantylki.

N. 18 — 20. Trzy jesienne kapelusze.

Z magazynu p. Moreau - Didsbury w Paryżu, na bulwarze Kapucyńskim N. 27.

Tylko gatunek materiału, stanowi różnicę z letniemi krepowemi kapeluszami, forma została ta sama jaką widzieliśmy u słomkowych.

N. 18. Kapelusz popielaty filcowy. Objęty czarnym aksamitem i wieńcem czarnych strusich piórek, spojonym z boku pasową aksamitną kokar-

N. 10. Stanik z ubraniem „Rokoko“ (przód).



N. 12. Pelerynka dla młodych pańienek.

N. 13. Pelerynka dla młodych pańienek.



da. Gładki prosty kawał tiulu popielatego w rzucik, formuje woal, który opasując kapelusz, wiązuje się z tyłu w kokardę i spada na plecy.

N. 19. *Kapelusz jedwabny popielaty.* Cały w bufki, między którymi dane są pojedyncze róże i drobne pączki. Pod szynionem wiązuje się go wążką wstążeczką, lub spina na elastykę guzikiem i pętelką opatrzoną. Z prawej strony kapelusza gazowy popielaty woal układa się fantastycznie i spada aż na ramiona.

N. 20. *Okrągły kapelusz ubrany koronką.*

Dla użytkowania czystego jeszcze słomkowego kapelusza, podajemy tu jesienne ubranie z czarnych koronek, tiulu i listewek aksamitnych; dwa pióra i gałązka róży stanowią piękne przybranie. Wążkie koronkowe barbki wiążą się w tyle.

N. 21 — 25. *Jesienne ubrania.*

Z magazynu pani Delacroix i Billand w Paryżu.

N. 21. *Suknia wieczorowa à la Stuart.*

Na niebieskiej w czarny rzucik, popielata fularowa z dość krótkim stanikiem, garnirunek stanowią ukosy w rzucik i rusza szafirowa jednolita, pliską zakończona. Szmizetka muslinowa z koronkami, dopełnia ubrania.

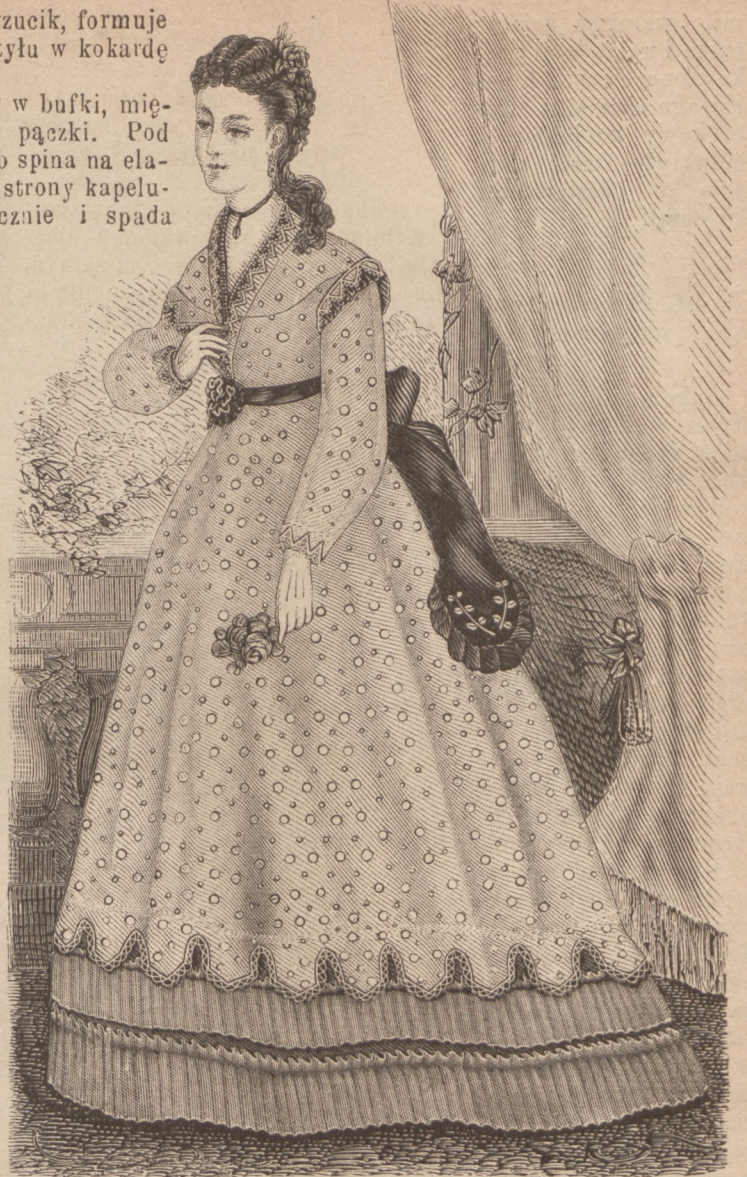
N. 22. *Suknia wizytowa z tuniką.* Suknia ta biała, w kolorowe pasy, ma na staniku ubranie z karbowanych falbanek jednolitego materiału, stanowiącego zarazem tunikę oszytą frendzlą i białą koronką. Na tunikę kraje się po cztery bryciki długości spódnicy, z których obadwa środkowe ścinają się ukośnie w samym środku w tyle, i formują na gładkich brytach przodu bardzo ładne zaokrąglenie. Dla utworzenia pufa, ukośny szew w tyle zacząwszy od stanika, układa się w grube fałdy tak daleko, żeby dół pufa mający w środku kontrafałdę, przybrał te same załamania. Dla zrobienia pufa, przesywa się sznurek przez środek, obie strony do przodu układa w fałdy, a górny brzeg tak daleko marszczy, żeby marszczki zachodziły do obydwóch szwów boku pod pachą wypadających. Szarfa z kokard z końcem szerokim z materiału w paski, oszywa się falbanką jednolitego materiału.

N. 24. *Ubranie dla starszych pań.*

Model nasz z materji brązowej matowej



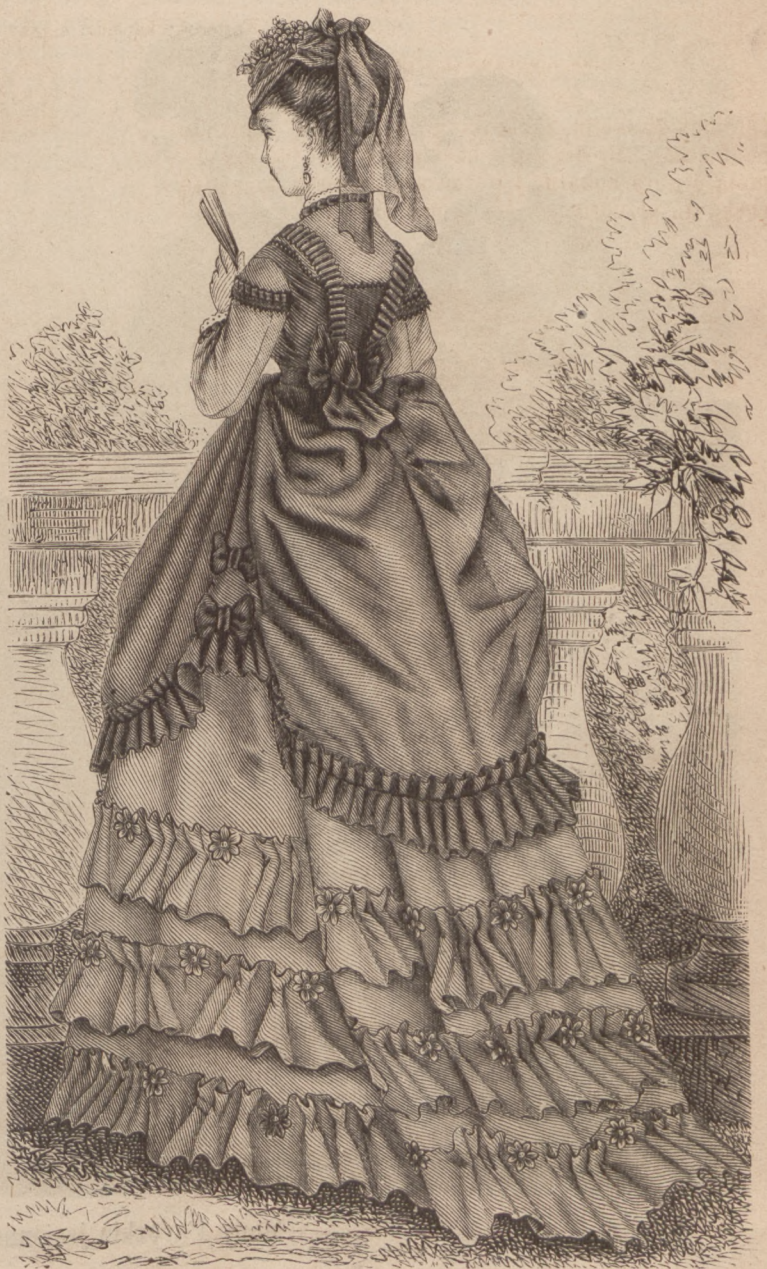
N. 14. *Kostium wizytowy.*



N. 15. *Suknia muslinowa w muszki.*



N. 16. *Spacerowe ubranie.*



N. 17. *Wizytowe ubranie.*



ubrany jest kokardami, szerokim kołnierzem i wykładami u rękawów z ciemno brązowego aksamitu. Koronkowy kołnierz i mankiety, także czeppek, z aksamitnymi końcami.

N. 24. Strojna suknia wizytowa.

Suknia ta przyrządzona w dwóch kolorach, może być jedwabna, z cienkiej materji wełnianej, gazy, a nawet tiulu. Oryginalność jej tworzą dwa boczne bryty, przyszyte do przedniego, które dają się brzegiem prostym do przodu, skośnymi do tyłu, bardzo długie, tylko na 40 cent. od ziemi przyszywają się gładko, dalej układają w gęste fałdy formując puf przy prostym tylnym brycie spódnicy. Garnirunek tworzący na przodzie dwa ukośne kwadraty, bufa wypełnione wymaga jedwabnej falbanki i aksamitnych plisek. Oszycie tuniki tworzą również falbanki i pliski. Wycięcie stanika „à l'antique,” ozdabia w koło falbanka z potrójnie daną aksamitową

pliską, który to garnirunek dopełniony tiulową bufką widzimy także na rękawie.

N. 25. Kostium spacerowy z tuniką.

Krój tuniki na dodatku N. III fig. 8 — 9.

Bardzo noszona tunika z czarnego kaszmiru z kwadratowo wyciętym staniczkiem i ramiączkami nosi się do każdej sukni dopełniając całość kostiumu. Dolna spódnica w pasy, ma rodzaj falbany w wycinane zęby. Kaszmirowa czarna tunika, ruszą i falbanką ozdobiona, spina się z przodu na kokardy, podejmuje z boków, przez ściągnięcie w szwie danego sznurka, i ubiera kokardami. Zastosowując się do zwyczajnego kroju, trzeba odpowiednio podłużyć z uwagą, żeby jak najbardziej boczne bryty były ukośno skrajane, przez co lepiej można ściągać.



N. 18. Kastorowy kapelusz ubrany wieniec z pior. N. 19. Kapelusz diademowy. N. 20. Kapelusz ubrany koronką.



Mody Paryzkie jesienne z magazynu pani Delacroix i pani Billaud.

N. 21. Suknia wieczorowa „à la Stuart“.

N. 22. Suknia wizytowa z tuniką.

N. 23. Domowe ubranie dla starszych pań.

N. 24. Strojna suknia wizytowa.

N. 25. Kostium spacerowy z tuniką. Krój tuniki N. III. Fig. 8 i 9.